

małolodirze

ZIELONA GÓRA 8 | 1989 — 21 | 1989 R.
ROK XXXIII NR 1 [684]

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

CZYTELNA

Z REGIONU...

ODDYCHAC
GŁĘBOKO

KANIBALE

SCENY
miłosne

O poezji
Czesława Sobkowiaka



Rewolucja krasnoludków

Jan Golec

Sytuacja społeczno-ekonomiczna kraju w niektórych kręgach młodzieży budzi uczucia frustracji, niepokojów, bierności, a także postawy stricte opozycyjne („Wolność i Pokój”, „Federacja Młodzieży Walczącej” itp.). Niezależnie od opozycyjno-kontestacyjnego nurtu młodzieżowego, ujawniają się też inne tendencje. Chodzi tu o ruchy alternatywne — pozornie apolityczne, zabawowe formy spędzania wolnego czasu i środowiskowej integracji. Prezentują się jako przejaw i zarazem skutek spadku zaufania młodzieży do władz, organizacji społeczno-politycznych oraz polityki partii i rządu. Przynależność do ruchów alternatywnych jest niesformalizowana, dobrowolna i często doraźna. Mają one różny charakter, w zależności od obranego celu działania, składu i liczebności czy form artykulacji swoich potrzeb.

Prekursorem ruchów alternatywnych w Polsce był Ruch Nowej Kultury, organizacja społeczno-kulturalna zarejestrowana w 1980 r. w Uniwersytecie Wrocławskim. Podjął on inicjatywę najróżnorodniejszych artystycznych i kontestacyjnych działań w środowisku młodzieżowym. W kwietniu 1981 r. RNK zorganizował marsz pokoju. Była to pierwsza impreza tego typu w Polsce, ale też jedyna w całej Europie Wschodniej i Środkowej. W czerwcu tegoż roku grupa studentów Wrocławskich (W. Fydrych, M. Jasiński, P. Jarodski, M. Puchala, J. Kiers i G. Grażka) wydała „Ga zetę A”. Pismo to pilotowało specyficzny ruch wschodniego undergroundu, zważanego na surrealizm socjalistyczny.

Dla zinterpretowania założeń programowych ruchu alternatywnego zasadnicze znaczenie ma forma działań. Przejawiają się one przede wszystkim w postaci happeningów, a więc najczęściej ulicznych imprez połączonych z przemarszem na określonej trasie. Intencją tych akcji miało być uwalnianie ludzi z przeróżnych dewiacji psychicznych, z nienawiści, strachu i wąsko stosowanego racjonalizmu życiowego. Happeningi w myśl surrealizmu socjalistycznego miały pokazywać, że sztuka i życie to jedno i to samo.

Ten sens akcji happeningowych pozostał. Wówczas — jako dokumentacja działań, miejsce manifestacji postaw artystycznych i kulturowych, powstało pismo „Pomarańczowa Alternatywa” określone przez W. Fydrycha jako surrealistyczny reportaż z wydarzeń strajkowych i happening literacko-wydawniczych.

W 1982 r. „PA” protest wobec stanu wojennego wyrażała w publicznych manifestacjach, a także w malarstwie, na murach miast. Najpierw pojawiły się napisy, hasła i symbole „S” z kotwicą. Nieco później na zamalowanych hasłach pojawiały się kwiaty z kółkami, abstrakcyjne znaki i krasnoludki. Happeningi przetrwały stan wojenny. Trójwymiarowe krasnoludki pojawiają się na ulicach Wrocławia, w dni świąt państwowych, zawodowych (np. dzień milicjanta, WP, kobiet, dziecka itp.), różnych politycznych wydarzeń.

W drugiej połowie lat osiemdziesiątych nastąpiła aktywizacja działalności ruchów alternatywnych w Polsce, wśród których wiodącą rolę odgrywa „Pomarańczowa Alternatywa” kierowana przez W. Fydrycha. Pierwszą poważniejszą imprezą były obchody Międzynarodowego Dnia Dziecka w dniu 1 czerwca 1987 r. Studenci przebrani za krasnoludki skandowali różne hasła m.in. „Niech żyje surrealizm socjalistyczny”.

Latem 1987 r. we Wrocławiu zorganizowano happening pod hasłem „Precz z upałami”. Grupa młodych ludzi ubranych w białe koszulki z przyczepionymi literami o tej treści ciągle gubiła niesforne „U”, pozostawiało wówczas hasło „Precz z pałami”.

Trudności rynkowe występujące w naszym kraju daly asumpt do zorganizowania manifestacji pod hasłem „Kto się boi papieru toaletowego”. Niesiono transparenty z napisami: „Socjalizm z jego ekstrawaganckim podziałem dóbr konsumpcyjnych, a także ekscentryczną postawą społeczną wysunął papier toaletowy na czoło marzeń. Obecnie jest on nieosiągalny. Również krem do golenia należy do ścisłej elity produktów wartych poświęcenia”. Podobny charakter miało wręczanie kobietom podpasiek higienicznych z okazji Dnia Służby Zdrowia. Przedmiotem ataków młodzieżowych kontestatorów jest realizacja reformy gospodarczej. Uczestnicy happeningu zorganizowanego przez NZS w Gdańsku, przebrani w stroje żebraków, nieśli plakaty o treści: „II etap reformy to etap pozorów”, „Niech żyje socjalizm”, „Gdy z węglem są trudności, palimy ŻOŁNIERZA WOLNOŚCI”, „Po II etapie reformy czas na kryterium uliczne, wychodząc z domu nie zapomnij łomu”, „Głodny naród może zjeść władzę”, „Ostatnią szansę reformy gospodarczej w naszym kraju upatruje się w świętym Mikołaju”.

W dniu święta milicjanta w centrum Wrocławia ustawiono makietę kwiata, dedykowanego „beziemnym” pracownikom resortu”, skandowano hasła domagające się wprowadzenia ośmiogodzinnego dnia pracy dla funkcjonariuszy SB i MO. W Warszawie z tej okazji członkowie „Białej Alternatywy” eksponowali hasła: „Milicja w krainie czarów”, „Chodźcie z nami z krasnoludkami”, „Jesteśmy mali, ale czerwoni”, „Precz ze smurfami” (pod adresem ZOMO).

Z okazji święta Ludowego Wojska Polskiego przeprowadzono manewry pod kryptonimem „Melon w majonezie”. Tekturowy czołg, plastikowe szable, nocniki zamiast hełmów oraz hasła w rodzaju „Układ Warszawski awangardą pokoju” — miały wykreślić surrealizm propagandy wojskowej.

W Warszawie uczestnicy podobnej manifestacji atak skierowali na wojskowe szkolenie studentów. Zainscenizowano bitwę z pomocą korków i kapiszonków, która została przerwana przez „rozjemców” ubranych w białe koszule i czerwone krawaty wznoszących hasła „pokój, pokój...”. Odczytano rezolucję pokojową Stalina, śpiewano pieśni ze zmienionym tekstem „Witaj nam Polsko, myśmy są wojsko, raczej czerwone, wolność przed nami zmyka polami” oraz „Cztery pancerni i pies”. Rozrzucono ulotki domagające się reformy szkolenia wojskowego. Na makietach rakiet, czołgów, okrętów zamieszczono napisy: „Nie znoście studentów — wizerunek funkcjonariusza ZOMO”, „Rambo z nami”, „Front Wyzwolenia im. sierż. Jelenia”, „Przećć czołgi na wolgi, a pepesze na lemiszce”, „Pacyfści do Pacyfiku” itp.

Okazją do happeningów stricte politycznych są ważne wydarzenia w naszym kraju, wypowiedzi przywódców partii i rządu, a zwłaszcza rzecznika prasowego. Intencje organizatorów są jasne i przejrzyste — dolożyć „czerwonym”. Zbliża się referendum, krasnoludki z „PA” rzucają hasła: „Wrocław miastem 200% frekwencji wyborczej! 100 x tak! Tyle razy tak, ilu wyborców!” Hasła kolportuje się w tramwajach, autobusach i innych miejscach publicznych, dodatkami do hasła są odgłosy fujarek, gitar i bębnow. W Warszawie „Biała Alternatywa” przy udziale NZS zorganizowała piknik wyborczy. Grupa studentów i młodzieży szkolnej wznosiła hasła: „Głosuj na Babę-Jagę”, „Wszyscy do lokali gastronomicznych”, „Wszyscy się nie zmieścimy”, „Prawo pierwszej nocy dla radnych”, „Kochamy partię”, „Cała władza w ręce rad”, „Urban marszałkiem”.

Rocznica zjednoczenia ruchu robotniczego posłużyła za pretekst do głoszenia hasła w rodzaju: „PPS reakcja, PPR atrakcja”. W. Fydrych przyznaje:

Ciąg dalszy na str. 4

„Nowe czasy wymagają nowych metod pracy, nowego podejścia. Obrazowo mówiąc — zrzucenia starej skóry, aby nie hamowała wzrostu.”

Z przemówienia Wojciecha Jaruzelskiego na X Plenum KC PZPR

— Minęło 40 lat od zjednoczenia polskiego ruchu robotniczego. Polska Zjednoczona Partia Robotnicza przechodzi głęboki proces wewnętrznych przeobrażeń, poszukując w trakcie toczącej się dyskusji swego nowego modelu oraz właściwej roli w społecznych przemianach kraju. Przed nami III ogólnokrajowa Konferencja Ideologiczno-Teoretyczna oraz Konferencja Delegatów na X Zjazd PZPR. Niedawne X Plenum KC nadało nowe impulsy dla nowego myślenia i partyjnego działania...

O NOWĄ TWARZ PARTII

Rozmowa z doc. dr hab. Krzysztofem Kaszyńskim

— Doświadczenia w wypełnianiu kierowniczej i przewodniej roli przez PZPR zmuszają do refleksji. W nowej sytuacji społeczno-politycznej zmieniać się musi rola partii, ale to wymaga zmian w samej partii. Temu służy dyskusja o partii, prowadzona od wielu miesięcy również w województwie zielonogórskim. Nie można nie doceniać znaczenia dyskusji o partii w okresie poprzedzającym III Konferencję Teoretyczno-Ideologiczną, ale też nie można oczekiwać od Konferencji, że rozstrzygnie ona o wszystkich problemach, które nagromadziły się przez dziesięciolecie. Dyskusja ma wpływ na krytyczną analizę sytuacji obecnej, ale także na wpływ na kształtowanie się nowego oblicza partii. Poszukiwanie nowego oblicza partii wynika z przewodnictwa w procesie przebudowy socjalizmu. Z partii urzędujących funkcjonariuszy, popierających ich aktywistów i biernych mas członkowskich przekształca się w partię walczącą o swoje programy. Liderzy partii muszą rozwiązywać problemy, a nie tylko angażować swój wysiłek na zdobywanie i piastowanie funkcji. Ale taka sytuacja może zrodzić się w warunkach większego uspołecznienia działalności partyjnej, do której skłaniają się coraz bardziej instancje partyjne. Nowy model lidera partyjnego niesie z sobą ryzyko klęski, ale i satysfakcję z rozwiązywania problemów społecznych.

— Czy w wystarczającym stopniu podstawowe organizacje partyjne województwa wykazują konsekwentne działania proreformatorskie i poszukują nowego stylu pracy?

— Ocena taka będzie zawsze względna. Można dzisiaj mówić o woli działań proreformatorskich, które jest spełnieniem powszechnie oczekiwanego, nowego stylu pracy partyjnej towarzyszącej nam od wielu miesięcy. Staramy się w obecnym okresie przejściowym odchodzić od zbędnych form i metod — a więc odchodzimy od modelu „wodzowskiego” partii, co spowodowało się do partii wszechwiedzącej i zawsze zwyciężającej. Dzisiaj zwłaszcza wojewódzka instancja partyjna, jak i miejska oraz gminna starają się zerwać z przebrzmiałymi schematami i nawykami w realizacji uchwał. Oznacza to, że wśród kryteriów partyjności odchodzimy od deklaracji dobrej woli, zasług, wierności ideałom, lojalności, czy umiejętności wykorzystania aparatu administracyjnego — na rzecz krytycznej analizy pozycji i decyzji płynących z instancji nadzórnych. Na rzecz analiz wyboru możliwie najtrafniejszej decyzji, umiejętności pozyskiwania ciekawych grup ludzi do swych przedsięwzięć, przedsiębiorczości, większej samodzielności i nie czekania na impulsy płynące z „góry”. Coraz częściej sięgamy do uchwał, programów i sami odczytujemy ich wartość do rozwiązywania regionalnych i lokalnych problemów. Zerwaliśmy z kampanijnością w działalności partii, odchodzimy od dublowania tych samych spraw, tylko w innych zespołach ludzkich i organizacyjnych, a tym samym

Ciąg dalszy na str. 4

SAMODZIELNOŚĆ W GMINNEJ SKALI

Gdyby minister Wilczek spotkał się z Czesławem Budzianowskim, prezesem Gminnej Spółdzielni w Dobiegniewie, zapewne szybko by znaleźli wspólny język, choć pierwszy musi się liczyć z ustawami sejmowymi, a drugi z „Prawem spółdzielczym”. A i minister rządzi w skali jednak nieco większej, niż jedna gmina...

Dlaczego? Odpowiedź jest w zasadzie prosta: obaj panowie realizują dążenia reformatorskie, na pierwszym miejscu stawiają racjonalizowanie gospodarki, umocnienie jej fundamentów ekonomiczno-finansowych, wywołanie impulsów usługowo-produkcyjnych, innowacyjność, nowe myślenie, wyzbycie wskaźników i sufitowego planowania, maksymalną samodzielność. Te i wiele innych wspólnych cech myślenia zbliżają stanowiska obu panów, choć Czesław Budzianowski, wywodzący się z rodziny o tradycjach spółdzielczych, szanuje opinie rady nadzorczej i nigdy nie był menedżerem na większą skalę. Nie ma też takich prerogatyw, jak minister Wilczek.

A jednak dobiegniewska Gminna Spółdzielnia, choć należy do średnich w województwie gorzowskim pod względem osiągniętych obrotów i wypracowanych zysków, również na miarę własnych możliwości (skromnych) i niewyczerpujących się potrzeb, stawia na samodzielność. Nie popada w stagnację, nie gryzie jej robak niemożności. W sklepach miasteczka i okolicznych wsi towaru jakby więcej, choć zawsze jest go oczywiście za mało. Ale sprowadzony do Dobiegniewa na sprzedaż japoński odbiornik telewizyjny za półtora miliona złotych stał krótko w sklepie. Ale — skoro gorzowska Centrala Rybna nie może sprostać zapotrzebowaniu na ryby, to GS sprowadza je bezpośrednio od szczecińskich przedsiębiorstw połowowych. Sklepik monopolowy jest o niebo lepiej zaopatrzony niż wszystkie delikatesy gorzowsko-zielonogórskie razem wzięte. Bez trudu można zakupić tu po stosunkowo niskich cenach wódki wysokogatunkowe i koniaki „napoleony”. Więcej jest też wyrobów cukierniczych, sprowadzanych również bezpośrednio ze „słodkich fabryk”. Gdyby GS chciała liczyć tylko na spółdzielczą hurtownię w Gorzowie, miała by często „fię” a nie towar. A w rezultacie operatywnej służby zaopatrzeniowej ubiegłoroczne obroty GS wyniosły po raz pierwszy w jej 42. letniej historii ponad 2 miliardy złotych, natomiast wypracowany zysk przekroczył kwotę 30 milionów złotych. Oczywiście, na wysokości obrotów zawyżyły podwyżki cen (około 30 proc. maksymalnie), ale przede wszystkim liczy się masa towarowa, sprowadzona poza tradycyjnym tak zwanym rozdziałem, 62 procent ogólnych obrotów osiągnięto w handlu artykułami spożywczymi. Na to, aby było co sprzedawać pracuje pięćdziesiąt zaopatrzeniowców. Stale penetrujących sąsiednie i dalsze województwa. Taka jest konieczność, 44 sklepy w miasteczku i gminie muszą mieć towar i muszą być rentowne. A nie wszystkie są! Stąd prezes Budzianowski zamierza 12 sklepów przekazać w agencję. Czy znajdą się chętni? Życie ich zmusi. Mogą przecież na przykład uruchomić przy sklepach punkty skupu grzybów — zarobią sami, zarobią inni. Taki myśli szef Spółdzielni.

Alle jego myślenie idzie jeszcze dalej. — Przecież — powiada — sześć lat temu pracowaliśmy na 223 osoby, dziś — 181. A zadania gospodarcze bardzo wzrosły. Wniosek prosty: należy około osiemnastu pracowników z administracji przesunąć do innych sfer działalności, na przykład do handlu, gdzie wprowadzimy prowizyjny system plac. Do produkcji, gdzie zastępuje się wyłącznie akordowy system wynagrodzeń. Pozostanie więc trochę pieniędzy na fundusz plac dla pozostałych pracowników administracji. To przecież logiczne i z duchem reformy!

Prezes nie zapomina o niezbędnych inwestycjach, służących przede wszystkim poprawie rynku. Już obecnie prowadzi się tak zwany odkup gospodarczy mięsa na potrzeby gastronomii. To z uboju gospodarczego — wołowina i wieprzowina bez kartek... Ho, ho — kto by tego nie kupił? I to po umiarkowanych cenach!

Niedawno we wsi Wologoszcz otwarto nowy sklep. Wybudowano go własną ekipą remontowo-budowlaną, nakładem 4.600 tys. zł. Za oknem biurowca widać wiatę magazynową na surowce wtórne. Będzie obsługiwać rejon działania kilku okolicznych gminnych spółdzielni. Przedsiębiorstwo Skupu Surowców Wtórnych zadeklarowało 9 milionów złotych na dofinansowanie tej dużej inwestycji. Na razie milczą, prezes wygląda za okno z niepokojem.

Jeszcze w tym roku zostanie uruchomiona ubojnia nutrii, o mocy przerobowej 1800 sztuk na miesiąc. Uszlachetnione mięso przeznaczy się na kabanosy, do gastronomii, natomiast co z uzyskanymi skórami? — Sprzedacie do Poznania? — O, nie — odpowiada prezes. Sprzedamy temu, kto najlepiej nam zapłaci.

Warto jeszcze dodać, że obecnie w opracowaniu znajduje się dokumentacja na budowę masarni. Przewiduje się, że prace rozpocznie się pod koniec 1989 roku wspólnie z kilkoma innymi kontrahentami, których nazw na razie prezes nie chce ujawnić.

Oczywiście, dobiegniewska Gminna Spółdzielnia nie zapomina o swoich statutowych obowiązkach. Powadzi się usług, do których trzeba dopłacać — ale w rozsądnych granicach. Prowadzi kluby rolnika, ośrodek „Nowoczesna Gospodyni” i opiekuje się spółdzielnią uczniowską w miejscowej szkole.

— Gdyby nie tak wielka ilość różnych komisji kontrolnych, życie byłoby całkiem znośne. Tak sentencjonalnie powiada Czesław Budzianowski, który w spółdzielczości wiejskiej pracuje od września 1965 roku, w latach 1971 — 74 był tu prezesem, potem w 1982 roku znów powrócił na to stanowisko, choć już w nowym, postawionym za jego prezesury budynku biurowym gdzie ciepło i po prostu lepiej, o wiele lepsze warunki pracy niż w uprzednio zajmowanym baraku...

KRZYSZTOF KLON

Tarcza dyrektorów?

Zebrał się 50 dyrektorów przedsiębiorstw przemysłowych i usługowych, zakończyło się utworzeniem Zielonogórskiej Rady Dyrektorów. Nastąpiło to 19 grudnia 1988 roku. Powołanie poprzedzone zostało działalnością grupy inicjatywnej spośród dyrektorów będących działaczami Towarzystwa Naukowego Organizacji i Kierownictwa. Właśnie grupa inicjatywna zaproponowała, aby zasadniczym celem Zielonogórskiej Rady Dyrektorów było prezentowanie stanowiska i opinii we wszystkich sprawach dotyczących organizacji i zarządzania jednostkami gospodarczymi, podnoszenie wiedzy i umiejętności dyrektorów w kierowaniu i zarządzaniu, reprezentowaniu spraw związanych ze statusem dyrektora i innymi potrzebami, interesami tej grupy pracowników.

Zielonogórska Rada Dyrektorów zamierza organizować wymianę doświadczeń, promować rozwiązania podnoszące efektywność gospodarowania, uczestniczyć w charakterze rzeczoznawców w konkursach na stanowisko dyrektora, organizować dyskusje, sympozjony, seminaria, być obecna przy opiniowaniu planu społeczno-gospodarczego regionu.

Być dyrektorem naczelnym przedsiębiorstwa w obecnej sytuacji gospodarczej spełniać zasadnicze funkcje i ponosić całą odpowiedzialność przy rozstrzyganiu napiętych społecznych, dziś nie jest zadaniem łatwym i wdzięcznym. Każda prawda decyzyjna jest oceniana przez opinię publiczną. Nie więc dziwnego, że dyrektorzy naczelnicy z województwa zielonogórskiego, za przykładem innych regionów, próbują się integrować, umacniać swoją pozycję.

Zielonogórska Rada Dyrektorów ma być tarczą broniącą ich interesów zawodowych, pragnie działać w naczelnym radzie dyrektorów — forum ogólnopolskim, być może poprzedzającym powstanie jeszcze jednego związku zawodowego. Trzeba Zielonogórskiej Radzie Dyrektorów żyć, spełniać oczekiwania jej członków. Będzie to dużo. Tarcza ma jednak charakter obrotowy. W obecnej sytuacji pytanie o miecz ma również uzasadnienie.

Powołanie Zielonogórskiej Rady Dyrektorów zostało cieniem przyjęte przez władze polityczne i administrację województwa zielonogórskiego. Zadeklarowano zrozumienie.

Prezesem Zielonogórskiej Rady Dyrektorów wyłonionym spośród 17 osobowości kierowniczych został Bronisław Oporowski, dyrektor Zielonogórskich Zakładów Piwowarskich.

R.R.

Do siego Roku!

Nie wiadomo, co będzie się dłużej pamiętać: owe dwa świąteczne dni rozjaśnione blaskiem choinki, czy nerwowo, wyczerpujący mózół przed świątecznego zaopatrzenia? I znowu polski cud: choć zabrakło w sklepach oleju, były smażone ryby. Rację miał premier Rakowski — w rezultacie niewydolności świątecznego handlu wiele artykułów, kiedy wystano już w kolejkach, kupowano w większych ilościach, na zapas. Ile się z tego zmarowało? Nacale szczęście już po Sylwestrze...

Inicjatywa ekologiczna

PZPR

Na wniosek Komisji do spraw inicjatyw partii w budowie porozumienia narodowego i czynów społecznych KW PZPR w Gorzowie w Dębnie Lubuskim odbyło się sympozjum ekologiczne. Uczestniczyli w nim soltysi i przewodniczący samorządów miasteczka oraz gminy Dębno, szefowie dębnowskiego przemysłu, służby zdrowia, kółek lotwickich, PGR, PGRyb, RSP, LOP oraz Wydziału Ochrony Środowiska, Gospodarki Wodnej i Geologii Urzędu Wojewódzkiego. Wprowadzając do dyskusji referat na temat ochrony środowiska naturalnego oraz stanu przyrody w mieście i gminie Dębno wygłosił doc. Lucjan Agapow z Gorzowa. Na zakończenie spotkania utworzono zespół ekologiczny, który zobowiązano do opracowania wspólnie z odpowiednią komisją miejscowej Rady Narodowej — dokumentu, określającego stopień zagrożenia środowiska naturalnego w gminie. Postanowiono także ufundować księgę, w której wpisywać się będzie zrealizowane inicjatywy ekologiczne. Sympozjum to stanowi również inauguracyjną wojewódzkiego konkursu ekologicznego.

Laureaci konkursu GTK

Na szósty już z kolei konkurs literacki Gorzowskiego Towarzystwa Kultury wpłynęło 15 opowiadań i 13 reportaży. Jury pod przewodnictwem wiceprezesa ZG ZLP Zygmunta Wójcika podkreśliło ambitny poziom nadesłanych prac jak i zawarte w nim ważne problemy regionalne. Przyznano: I nagrodę za opowiadanie Januszowi Olczakowi z Lublina, a za reportaż — Grażynie Cudak z Gorzowa. W dziedzinie opowiadań II nagrodę zdobył Czesław Lapszyński ze Świebodzina, III — Elżbieta Skorupska z Trzebieżewa zaś wyróżnienia Alfred Siatecki i Mieczysław Warszawski z Zielonej Góry oraz Włodzimierz Jedrzejczak z Wojciechowa. Za reportaż II nagrodę otrzymał Dariusz Muszer ze Strzelca Krajeńskich a III — Janusz Ampula z Gorzowa. Wyróżniono reportaże: Haliny Aniskiej — Skarbek z Zielonej Góry oraz gorzowlan: Andrzeja Cudaka, Jagody Boguniewicz, Krystyny Kamińskiej i Stefana Wachnowskiego. Jury postuluje by konkurs literacki GTK wszedł na stałe do

rocznego kalendarza inicjatyw tego Towarzystwa.

Miniony rok w LTK

Jaki był miniony rok w działalności Lubuskiego Towarzystwa Kultury? Prezydium Towarzystwa na ostatnim posiedzeniu usiłowało odpowiedzieć na to pytanie. Zgodzono się, że był to rok średni. W ponad trzydziestoletniej działalności LTK były lata lepsze, ale nie brakowało gorszych. Na szczególne uznanie zasługuje zeszłoroczna, uwieczniona kolejnym sejmikiem praca Towarzystwa Przyjaciół Ziemi Świebodzińskiej, które kontynuują idee swojego pierwszego prezesa, niezłającego już dr Lecha Wierusa. Poczynania TPZS warte są upowszechnienia także poza zielonogórskim regionem. Okazuje się, że kryzys obywatelskiej działalności nie objął wszystkich. Także ogniwa ruchu regionalnego w Brodach, Żarach, Wolsztynie, Lubsku, Nowej Soli, Jasieniu i Gubinie dawały o sobie znać różnymi inicjatywami. Pracowały sekcje LTK — plastyczna, młodych regionalistów, Klub Literacki i Klub Szaradzystów LABRYS. Większość krzyżówek, które zamieszczamy w „Nadodrze” jest autorstwa członków tego Klubu. W minionym roku LTK wydało kilka książek: „Mój dom nad Odrą” — kolejny już, siódmy tom pamiętników mieszkalców Ziemi Lubuskiej, tomiki wierszy Jerzego Przybeckiego i Roberta Gromadzkiego, „Branie lubuskie” — Janusza Olczaka, i inne. Podpisano porozumienie o współpracy z Okręgowym Zarządem Kultury w Cottbus. LTK i jego terenowe ogniwa współdziałały w różnych uroczystościach i imprezach, niektóre współpracowały z miejscowymi placówkami kultury. W dyskusji na ostatnim posiedzeniu Prezydium LTK zastanawiano się przede wszystkim jak ożywić biernie towarzystwa, jak pomagać różnym ogniom ruchu regionalnego w województwie.

Szkola Rodła

Odbyło się spotkanie Społecznego Komitetu Budowy Szkoły — Pomnika Rodła. Omówiono dotychczasową realizację czynów społecznych i świadczeń pieniężnych na rzecz wznoszonej szkoły w Dąbrówce Wlkp. Przedstawiono również program obchodów 60-tych rocznicy powstania polskiego szkolnictwa mniejszościowego na dawnym Pograniczu. W spotkaniu uczestniczyli gospodarze województwa zielonogórskiego i gminy zbyszynieckiej oraz działacze Stowarzyszenia „Wiśła—Odra”, które sprawuje patronat nad budową szkoły.

IX Symfonia Beethovena

Niezapomnianych wrażeń przysporzyła swoim melomanom Filharmonia Zielonogórska, która w jedną z grudnia w niedzielę zaprosiła ich na koncert symfoniczny, zorganizowany w kościele pod wezwaniem Najświętszego Zbawiciela w Zielonej Górze. W programie koncertu znalazło

się jedno z najslawniejszych dzieł wielkiego kompozytora — Ludwika van Beethovena, w którym wykorzystał on „Ode do radości” Fryderyka Schillera (kantata jako IV część cyklu) ostatnia — IX symfonia d-moll opus 125. Wykonawcami byli: Gabriela Kściuczyk — sopran, solistka Opery Śląskiej w Bytomiu i Teatru Wielkiego w Poznaniu; Barbara Krahel — alt, solistka Opery Wrocławskiej, Ireneusz Jakubowski — tenor, solista Teatru Muzycznego w Łodzi, Krzysztof Kłerek — bas, solista Teatru Wielkiego oraz Chór Mieszany Państwowego Filharmonii im. J. Elsnera w Opolu przygotowany przez Piotra Karpelę oraz orkiestra symfoniczna Filharmonii Zielonogórskiej. Dyrygował Czesław Grabowski. Do chodu z koncertu przeznaczono na pomoc dla ofiar katastrofy w Armenii.

Final akcji dobrej woli

Tę akcję dobrej woli prowadził „Gazeta Lubuska” ale i my pisaliśmy o niej. Cieszymy się, że znalazła ona swój dobry finał. Od niedawna pan Bronisław Jamrozek, inwalida bez obu nóg, zamieszkały w Zielonej Górze przy ulicy Osiedlowej 9/1 ma do dyspozycji kładkę zapewniającą mu swobodny wjazd i wyjazd z mieszkania na chodnik przy pomocy wózka inwalidzkiego. Kładka została wykonana według projektu Andrzeja Pukacza z Zielonej Góry. Składa się ona z nasypania ziemnego, odpowiednio izolowanego od ściany budynku przez Zielonogórską Spółdzielnię Mieszkaniową. Ziemię i płyty dostarczyło Przedsiębiorstwo Eksploatacji Dróg i Zieleni. Poręcz i obramkę przygotowała również ZSM. Całą sprawę prowadził do końca pan Andrzej Pukacz. On też zebrał społeczne pieniądze, które miały służyć sfinansowaniu przedsięwzięcia. Ponieważ jednak kładka zbudowana została całkowicie w czynie społecznym, pieniądze w kwocie 33.000 zł, zostały przekazane na konto Społecznego Komitetu Budowy Wojewódzkiego Szpitala Specjalistycznego w Zielonej Górze nr II O/M 79026-6103-132.

Zaprosili nas

Towarzystwo Przyjaciół Zielonej Góry na konferencję „Zielona Góra — przeszłość — teraźniejszość — przyszłość” oraz otwarcie wystawy „TPZG 1968-1988” w gmachu Biblioteki Wojewódzkiej; Komenda Chorągwi Związku Harcerstwa Polskiego im. WOP w Zielonej Górze na X Konferencję Sprawozdawczo-Wyborczą; Oddział Wojewódzki Stowarzyszenia PAX w Zielonej Górze na otwarcie wystawy Sztuka i Ekologia; Biuro Wystaw Artystycznych i Muzeum Zakładowe „Stilon” w Gorzowie na otwarcie wystawy ceramiki Anny Szymańskiej oraz wystaw malarstwa i rysunku Zbigniewa Woźniaka i malarstwa Stanisława Batrucha; „po” na instalację, performance, video Zbigniewa Libery, Jacka Rydeckiego, Jerzego Truszkowskiego; Polska Federacja Stowarzyszeń Fotograficznych na odbywającą się w Warszawie uroczystość obchodów 40-lecia działalności oraz ogólnopolską wystawę II Triennale Polskiej Fotografii Artystycznej; Przedsiębiorstwo Państwowe „Sztuka Polska” i Międzynarodowe Targi Poznańskie na V Targi Sztuki Krajoznawczej; Targi Socjalistycznych „Interart 88” oraz na Targi Materiałów i Sprzętu do Twórczości Plastycznej.

Odra — rzeka niczyja?

To rzeka naszych losów, związana z polskimi dziejami. Ta rzeka umiera. Steżenie zawarty w jej wodach zanieczyszczenia przekracza wszelkie normy. Żegluga na Odrze zanika, choć transport wodny należy do najtańszych. Setki zakładów przemysłowych rozlokowanych jest nad rzeką, ale tylko niektóre z nich mają nabrzeża przystosowane do przyjmowania bargek. Projektanci nowych inwestycji nie biorą pod uwagę Odry jako drogi wodnej. Oto obraz ze stycznia ubr.: „W kraju brakuje olejów napędowych, mamy deficyt prądu i środków przewozowych, elektrownie mają niepełne zapasy węgla. Odra ucieka — jest idealna sytuacja żeglugaowa na rzece. I w tym czasie tabor odczańskich polskich bargek jest unieruchomiony. Rzeka opustoszała. Nie całkiem. Pływają z powodzeniem po niej barki NRD. Czy trzeba bardziej dramatycznego obrazu porzucenia rzeki? Oto konsekwencja niewyobrażalnej ignorancji praktyków gospodarczych, którzy od 1945 roku wydali ogromne setki miliardów złotych na odrzańskie klęski powodziowe, a nie umieją tych samych miliardów zainwestować w żeglowność rzeki, czy Odra to ziemia niczyja?” — zastanawiał się dziennikarz „Kuriera Szczecińskiego” Stefan Januszewicz. Redakcje gazet województw nadodrzańskich — katowickiego „Wieczoru”, „Trybuny Opolskiej”, „Wieczoru Wrocławia”, „Gazety Lubuskiej” i „Kuriera Szczecińskiego”, ogłosiły alert w sprawie Odry. Chcą walczyć z ekologicznymi zagrożeniami rzeki, upominać się o jej właściwe wykorzystanie gospodarcze. Odwołują się do inicjatyw ludzi, którym los rzeki nie jest obcy. W pełni się z nimi solidaryzujemy.

LUBUSKIE PERSONALIA

MICHAŁ KAZIÓW (lat 63) po wydaniu kolejnej książki — zbioru opowiadań „Zdeptane go podnieść” złożył w Ludowej Spółdzielni Wydawniczej tom, także opowiadań — „Pięć na miłość” a pracuje nad powieścią biograficzną o doktorze psychologii Włodzimierzu Dolańskim, ocenił ją, jedno reżim planiszę — wirtuoz, działacz ruchu niewidomych. Hobby: praca twórcza, której poświęca co najmniej 8 godzin oraz słuchanie radia.

TADEUSZ SOJKA (lat 52) doktor praw, wiceprezes Sądu Wojewódzkiego w Zielonej Górze i Ubezpieczeń Społecznych w Zielonej Górze, żona Agnieszka, także prawnik, syn Jędrzej student Politechniki Wrocławskiej. Do rodziny zalicza również psa Morusa, lat 8. W

grudniu ubr. obchodził 30-lecie swego pobytu w Zielonej Górze. Autor monografii obozów jenieckich w Zaganiu („Zbrodnie Wehrmachtu na języcach wojennych w Zaganiu 1939-45” — studium krym. historyczne i „Sagan befehl — fakty i dokumenty”, już dwa wydania PWN) wydał ostatnio w Muzeum Ziemi Lubuskiej bibliofilski tomik poetycki pt. „Okna w niebo”. Pośród rozlicznych zajęć i zainteresowań znajduje czas na własne gospodarstwo w Niesulicach, gdzie hoduje pszczoły i pielęgnuje kilkunastoletni już sad owocowy.

ZYGMUNT STABROWSKI (lat 44), żona Aleksandra (mgr. inż. rolnik) córki — Agnieszka (19) studentka Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Zielonej Górze, Monika (13) uczennica, samochód fiat 125p, pies wielorasy Lido, absolwent UAM, historyk, b. pracownik Wydziału Kultury i Sztuki PWRN, b. przewodniczący ZW ZMS, 60

niej ZSMP, b. kierownik Wydziału Organizacyjnego KW PZPR, b. sekretarz KW PZPR, b. zastępca dyrektora Muzeum Ziemi Lubuskiej w Zielonej Górze, na ostatniej Wojewódzkiej Konferencji Sprawozdawczo-Wyborczej TPZR został wybrany sekretarzem Zarządu Wojewódzkiego TPZR w Zielonej Górze i m.in. z siedziby Towarzystwa przy al. Niepodległości zamierza uczynić aktywny ośrodek krzewienia kultury i wiedzy o Kraju Rad. Hobby: filatelistyka, kibicowanie lekkoatletom i lekkoatletom, praca na działce, pod kierunkiem żony, z różnymi jak dotąd efektami.

KAZIMIERZ GANCEWSKI (potomek Bronisława Taraszkiewicza, autora pierwszej gramatyki białoruskiej, twórcy przekładu na język białoruski m.in. „Iliady” — Homera i „Państwa Tadeusza” Mickiewicza, współzłożyciela „Hromady”) — lat 35, żona Barbara (31) córka Ola (10), syn Maciej (9)

kot Sprytosław, absolwent UAM, historyk, m.in. b. przewodniczący Zarządu Miejskiego ZMS i ZSMP, b. kierownik ośrodka propagandy przy KMJ w Świebodzinie, od 1981 dyrektor Świebodzińskiego Do mu Kultury im. Janka Krasickiego w Świebodzinie, Pracownika ta uważana jest za jedną z najlepszych w województwie zielonogórskim. W 1983 roku otrzymał Lubuską Nagrodę Kulturową za „Inspirowanie i wdrażanie nowatorskich form aktywizacji kulturalnej miejscowego społeczeństwa”, oraz Złotą Odznakę im. Janka Krasickiego. Bardzo sobie ceni za prośbę go przez prof. Bogdaną Suchodolską na Zamek Królewski do wzięcia udziału w dyskusji na temat „Owoce warunków życia”. Na ostatnim VII sejmiku Towarzystwa Przyjaciół Ziemi Świebodzińskiej został wybrany jednym z jego wiceprezów. Hobby: historia międzywojnia, język i kultura białoruska.

Słychać jak pracują. Wdech — wydech, wdech — wydech. Osiemdziesiąt cztery płuca, prawe i lewe, damskie i męskie po połowie. Wieczorem, po kropelkach i zastrzykach kaszel nie męczy nikogo.

Za to rano zawsze zaczyna się dźwiękowym preludium fortissimo. Toaletą oskrzeli, jak mówi ordynator Chmieleński.

Kaszel jednostajny i głęboki oraz krótkie, pojedyncze chękanie, basem, altom, sopranem. Charknięcia i spluwania. Świsły w klatkach piersiowych niby pianie koguta i rżenia niczym gęsi pod nożem.

Gdyby te dźwięki nagrać, dodać skrzypienie wózka popychanego przez Snieżynkę i warkot froterki, z którą moją się salowa Kanarek, potem taśmę zmontować, kto wie czy nie powstałaby jakaś nowa forma — z pogranicza muzyki, życia cierpienia i umierania?...

Pielęgniarka z pieprzkiem na wardze chce mnie rozbawić.

— Kiepskie żyły? A kto to pani powiedział? One są wspaniałe! Po prostu — szpagaty!

Stuka fachowo palcem w nabrzmiewające niebieskie niteczki, oceniając ich wytrzymałość. Odwracam głowę, by nie widzieć, jak ostrze igły przebiega skórę i wślizguje się poziomo do jednej z niteczek.

Udało się! Widać, że wierzchu dłoni wążutkiem tunelom, płynnie strumyk hydrocortizonu z eufilina. Z każdą sekundą mój oddech staje się głębszy. Gdy ostatni miligram zabawnego płynu znika ze strzykawki, oddycham normalnie. Co za ulga. Tak musi czuć się ryba, którą po dłuższym trzymaniu bez wody, wkłada się na powrót do zbiornika.

Pieprzek przegląda dalsze zlecenia lekarskie na ten wieczór. Wyjmuję z szafki ampułki, sprawdza je, szykuje strzykawki i igły. Chwała Bogu, na razie jeszcze są jednorazowe.

— Ale dziś wiatr — stwierdza — nie dobra pogoda dla płucników.

Na fotelu w pokoju zabiegowym siedzą teraz pani Dec, która waży ze sto kilo, ma przerażająco spuchnięte stopy i wargi w kolorze niedojrzałej śliwki.

Gdy zapytać „co pani dolega, pani Decowa?”, odpowie:

— Astma, serce, cukrzyca, wroba, reumatyzm, nerki, niedotlenienie, kołatanie, ciśnienie i szoty krzyżki. Jest to pacjentka stałą od dawna. Bywało, że przyjeżdżała mało żywa. Robił się alarm, siostry biegały jedna z kropelką, druga z zastrzykiem, przy łóżku siedział lekarz. Angażowali się wszyscy, żeby tylko pani Dec uratować.

Tymczasem ona ledwie złapała jakąś oddech, wycofywała się z łóżka i trzymając się ściany człapała do łazienki. Po co? Żeby sobie ukradkiem puścić dymek, choć raz. Taka z niej była palaczka. Od szesnastego roku życia papierosy za papierosem.

To już przeszłość. Pani Dec od roku nie pali.

— Zmądrzałam za późno — mówi z wysiłkiem, dzieląc sylaby, podczas gdy pieprzek powolutku wpuszcza jej do żyły mieszaninę.

Pani Dec jest osobą zamożną, co widać po ekstra szlafroku i wymyślnych kapiach. Na palcach i w uszach nosi złoto. Podobno gdzieś w województwie ma kwaciarnię.

Nie widać natomiast zamożności po Magistrze. Jego stara bonżurka pamięta jeszcze lata dwudzieste, lata trzydzieste, a szerokie bambosze zostały zmajstrowane domowym sposobem. Magister ma 75 lat, z czego pół wieku uczył w szkole historii. Zamiast na ostatnie życie, zarobił na ciężki bronchit i Bóg wie co jeszcze.

Stoi pod ścianą czekając, aż pani Dec ustąpi mu miejsca. Rece wsparte na łasce, nabrzmiała szyja, wytrzeszczone oczy.

— Ale mu duszno — szepce ze współczuciem Hania i szeleści koronkami.

Lekarz rejonowy napisał Hani na skierowaniu „zapalenie wyrostka robaczkowego”. Przyjechała została na chirurgię, ale po paru dniach przeniesiono na urologię. Tu okazało się, że to nerka, która miała być ślepa, biała, to wcale nie nerka, tylko płuca.

Śmieje się każdy komu Hania opowiada swoje przygody. Ona sama jednak często popłakuje. Boi się.

— To chyba rak?...

Ma 25 lat, drugiego męża, dwoje dzieci i dom w budowie. Nie może zasnąć, przyszła do siostry po tabletki.

Pani Alek zaprasza nas obie z Hanią do swojego pokoju na telewizję. Na ekranie szalona gospodyni podaje szalony przepis: „cebab kroimy w paseczki, zalewamy mlekiem, dodajemy seler, cebulę, cukier, roztrzepane jajka...”

— Paskudztwo — komentuje Alek. Podzielamy jego zdanie. Wierprowina po chińsku, na słodko. Kto by marnował kartkowe schaboszczaki? Przepis tylko psu na budę, nie do miski, bo czegoś takiego nie ruszyłby nawet chiński piesek.

Alek, lat 45, z zawodu piekarz jest na oddziale kimś w rodzaju prezesa samorządu. Włącza i wyłącza telewizor w sali rekreacyjnej chwilowo popusty. Roznosi, tremometry, związa waciki składa lignine. Pucuje nowych co do ich praw i obowiązków.

Był z niego taki kwak, taki, co nie sobie nie robi z czterdziestu stopni mro-

zu i upału, jednym haustem wypija setę i spala sześćdziesiąt dniennie.

Którejś nocy, gdy chleb siedział w piecu, wyszedł Alek przed piekarnię boso i goły do pasa. Noc była upalna, on spocony. Opodal stała sadzawka. Wtaplał się Alek w chłodnej wodzie, przyjemnie było.

W parę godzin później karetka na syrenie wiozła go do szpitala. Z obustronnym zapaleniem płuca.

Od tego zapalenia wszystko się zaczęło i trwa osiem lat. Z kozaka przeistoczył się Alek w chleraka. Wie, że do zdrowia nie powróci.

— Zostałem rencistą i dziadem...

Poza Szpitalem Wojewódzkim w Zielonej Górze zdążył odwiedzić szpital w Torzymiu, oddziały płuca w Warszawie i Poznaniu, i wszystkie sanatoria leczące choroby płuc. Kilkakrotnie znajdował się w stanie „trzy ćwierci do śmierci”. Według własnej oceny przeszedł wszystko, co żyjący i aktywny płucnik jest w stanie przejść.

— Bronchoskopia, małe piwo — mówi.

— Zupy chce?

W ostatniej chwili do okna podbiega Hania z ręcznikiem i mydłem.

— To przecież nasza babciunia spod dwudziestki!

Ostrożnie uchyla drzwi. W sali odbywa się ścieśnienie łóżek. Babcia — 82 lata, bronchit, skaza krwotoczna, uczucie na antybiotyki i poważne schorzenie nerek — siedzi na krzeselku cała i żywa.

Toczy się wózek ze śniadaniem. Za wózkiem toczy się Snieżynka. Dziewięćdziesiąt kilo wagi, zmrużone ciemne oczy.

— Gruba jest, ale jeszcze podskoczy — mówi o niej Alek. — Ma siedemdziesiątka z okładem, a jak jej wspomnieć o emeryturze, to opieprzy.

Snieżynka jest zdrowieciem od nazwiska Snieżyńska. Pracuje na oddziale płuca od niepamiętnych czasów i piątek-świątek dojeżdża z Sulechowa. Niezameżna, bez rodziny. Szpital jest dla niej wszystkim.

— Tylko jedna jest? — pyta stojąc w progu. — Niech podejdzie. Podchodzę.

— Zupy chce?

— Coś pan, lalka?

A facet odwraca głowę do ściany. Przyszła ordynator Chmieleńska, a ten oświadcza, że za pomocą zastrzyków leczyć się nie chce i koniec.

Nie — to nie. Około południa przyjechała karetka i zabrała go z powrotem do Nowej Soli.

Czterdzieści dwa łóżka, na każdym inny przypadek. Dawniej chore płuca kojarzyły się z gruźlicą. Dziś chorób płuc jest więcej, a gruźlica wbrew statystyce wcale nie ustępuje. Dymy, pyły, smogi. Wszystko to wdychamy do płuc z powietrzem, w którym coraz mniej tlenu.

Szczęściem nie brakuje go w szpitalu. Zapasy w butlach stoją w korytarzu.

Ordynator Barbara Chmieleńska, 27 lat pracy zawodowej, opowiada. Przywieziono kiedyś dziadka z niewydolnością dróg oddechowych. Dostał tlen i wszystko, co trzeba. Na drugi dzień siada na łóżku i woła:

— Ludzie, gdzie ten doktor suchotniczy?

ODDYCHAĆ GŁĘBOKO

Halina Ańska

wi fałszywie do Taryfiarza, który wszedł do nas, widząc światło.

Taryfiarz jest zdenerwowany. Właśnie na rano wyznaczono mu tę bronchoskopię. Schodził dziś parę razy na dół, żeby coś podpatrzeć i dowiedzieć się, co z nim tutaj jutro będzie robił. Aż siostra Truda przepędziła go z powrotem na górę.

Alek bierze głębszy oddech i opowiada. Teraz o wstrząsie. Wstrząs dostał po penicylinie. Stało się to podczas dyżuru siostry Fredki.

— Wkłuła się i daje pomalutku. Jak się pan czuje? — pyta. Dobrze kotuś, odpowiadam. I leżę sobie. Nagle wargi mi sztywnieją, w uszach gwizd, w oczach czarno. Krzyknąłem — o! o! Zapaliły się czerwone światła i zaczęły fruwać piórka. Fala ciepłej wody unosi mnie prosto w czarny wąwóz! Byłbym wpadł, lecz powstrzymał mnie głos siostry Fredki. Chce coś powiedzieć, ale zamiast ust mam ciężką bramę. Trzymając drzwi, które na mnie leżą, mówię z trudem: sio-o-ostro, ja-a wie-e-em że-e ty-y te-e-ego nie-e-e chcia-a-ataś...

I pomyśleć, że była to jedenasta z kolei dawka penicyliny.

Lekroć potem zobaczył Alek strzykawkę, robiło mu się gorąco. A siostrze Fredce robiło się gorąco, gdy miała dawać jakikolwiek zastrzyk Alkowi.

Za ścianą leży Nowy, lat 42. Przywiózł ze sobą zdjęcie Rtg, na którym widać zębra, płuca, serce i tajemniczą białą plamę.

Przyznał na wstępie, że w szpitalu znalazł się po raz pierwszy i nie znających tu zwyczajów.

Nie zna, to pozna, co za problem? Nawet dobrze się składa. Jutro obejmie dyżur. Ścierka, szczotka, kubek, wszystko jest w łazience.

— Trzeba przejechać cały korytarz — kończy polecenie Alek nie mrugnawszy nawet okiem.

Nazajutrz patrzą wszyscy, a Nowy zasnął. Nim salowa Julia odebrała mu swe narzędzia pracy, zdążył zalaćwieć pół roboty. Kto mógł na oddziale, ten uśmieł się zdrowo. Dlaczego nie każdy? Bo nie każdemu do śmiechu, jasne?

Alek poważnie. Leży tu od dwóch miesięcy i dobrze leczy. W tym czasie z obu piętér odjechało sześciu mężczyzn i dwie baby.

Krystyna Loska mówi „dobranoc”. Alek też kończy swój dzień.

— Ja tam nawet nie chcę wiedzieć, co w moich miechach siedzi, grunt że żyję — uśmiecha się.

Z kieszeni piżamy wyjmuję paczkę „caro”, przytyka do nosa. Chyba nie wytrzyma i wymknie się za raz jeszcze do palarni. Palarnia nazywana jest klatką schodową na półpiętrze. Alek sztachnie się dwa razy i będzie szczęśliwy.

Po wietrznej nocy spokojnej, słoneczny dzień. Przed budynkiem od strony kuchni podejżdża wózek. Za kierownicą chłopak w zielonym swetrze.

— No co jest? — krzyczy w kierunku drzwi.

Trzeba na wózek wnieść nosze. Na noszach leży babcia. Zmarła tej nocy, zapewne piętro wyżej, na torakochirurgii.

Prześcieradło jest za krótkie. Gdy je naciągają na głowę, widać gołe nogi do kolan. Gdy przykryć nogi, ukazuje się głowa obwiązana chusteczką, twarz z otwartymi ustami i plasty na piersiach.

Chłopak w zielonym swetrze dochodzi do wniosku, że lepiej zakryć babci głowę. Pociąga parę lyków „grodziskiej” i wózek rusza.

Snieżynka chlusta zupą po talerzach, ale nie nie rozlewa, co znaczy mieć wprawę. Oprócz mlecznej zupy jest chleb z salcesonem.

Po śniadaniu wizyta. Podczas, gdy na chirurgii obchód lekarski jest procesją, tu raczej krótkim zwiadem, z panią ordynator w charakterze oficera.

Każdy zwiadowca nosi w kieszeni słuchawkę. Zwiadowców jest sześciu. Sześć słuchawek przywiera do moich pliców.

— Oddychać głęboko.

Okazuje się, że „drzewo oskrzelowe” powraca do normy. Mam leżeć i nie

Podeszły równocześnie dwie lekarki, Chmieleńska i Radzikowa. Dziadek spojrzal z niechęcią.

— Doktora suchotniczego wołalem.

— A my się panu nie podobamy?

— Pewnie, że nie — odpowiada dziadek — doktor od suchot powinien być suchy...

Trafiają na oddział ludzie niedokrwienni, niedożywieni, wyniszczeni nalogami i nieleczoną chorobą. Często nieświadomi stanu, w jakim się znajdują, bądź bagatelizujący zagrożenie.

Mają prawo znać prawdę o sobie i wiedzieć, jak przypuszczalnie długo



Fot. Cz. ŁUNIEWICZ

przejmować się. Tydzień, dwa, a wszystko będzie dobrze.

Schodzę do królestwa siostry Trudy na „dmuchanie”. Parują inhalatory. To, co wdycham, ma słony smak. Nie każdy to lubi. Siedzaczemu za mną Siatkarzowi nazwanemu tak przez Alka z powodu wysokiego wzrostu, zbiera się na wymioty. Dla odmiany mężczyzna przede mną o którym wiadomo, że ma „sarkoidozę” dostaje czkawki.

Na oddziale sensacja. Wczoraj karetka z Nowej Soli przywiozła faceta, lat 28. Biegnie siostra Helenka z zastrzykiem, a on macha rękami:

— Nie chcę, nie zgadzam się!

— Dlaczego odmawia pan przyjęcia zastrzyku? — pyta doktor Zalewska.

— Bo nie chcę.

Teraz to samo. Zastrzyku — nie. Krw. na badanie — nie. Przyszła doktor Radzikowa:

trwać będzie leczenie. Wiąże się z tym wiele spraw.

Na przykład Siatkarz. Chłopak jak malowanie. W „karcie zgonu”, bo tak Alek przechrzcił karty gorączkowe, czarno od zapisów, a krzywa czerwona prowadzona ręką pielęgniarki nie spada poniżej 38 stopni. Kaszle, błędn. Jest przewlekłe chory. Ustalenie diagnozy trwa może parę tygodni. Tymczasem „na wolność” została młoda żona. Siedzi Siatkarz, mało mówi, widać, że się gryzie.

— Co ci jest, bracie? — zapytał go kiedyś Alek.

Siatkarz miał przed sobą gazetę, podobno nawet było to „Nadodrże” z portretem pewnej osoby. Zamiast odpowiedzieć dorysował temu na portrecie wielkie rogi...

Nie tylko sprawy sercowo-łózkowe przeszkadzają pacjentom w leczeniu. Także inne kłopoty, które komplikują się w miarę ich nieobecności w domu lub w pracy. Dlatego Siatkarz, Taryfiarz, Hania i inni z niezłą jeszcze kondycją ogólną dostają przepustki. Wychożą już w piątek wieczorem. Wracają lepsi psychicznie, odporniejsi.

Pulmonolog musi być po trosze psychologiem, otwartym na zwierzenia, lekarzem-przyjacielem, który potrafi nie tylko leczyć, lecz służyć rozmową i radą. Wiedzieć więc nie tylko o chorobie pacjenta, lecz także o nim samym.

Pan Walczak — astma, cukrzyca, migotanie przedsionków, odchodzi na własne żądanie. Żona próbuje go ubrać. W sinobladej twarzy smutne, zmęczone oczy. Jeszcze dziś rano leżał z rurką w nosie. Jak sobie poradzi w domu bez tlenu?

Alek szepciem informuje, że tu chodzi o testament. Walczakowa chce wygrać coś dla siebie przed innymi spadkobiercami. Czy to prawda, nie wiadomo.

Za to wiadomo, że w parę godzin po powrocie do domu wywołano do Walczaka pogotowie. A na drugi dzień przyjechała Walczakowa z prośbą, by męża przyjąć na oddział.

Pan Walczak wypisał się ze szpitala w momencie, gdy świtała mu szansa przeżycia. Bywa odwrotnie: że pacjent decyduje się na szpital dopiero wtedy, gdy szanse już nie ma.

Formalina przybył na oddział bez oddechu i głosu. Dusił się. Dyżurująca właśnie doktor Cielecka przy pomocy siostry Grażyny wyprowadziły Formalinę z kryzysu. Ale obraz jego płuc jest katastrofalny. Formalina ma miechy, niczym dwie podarte gąbki, do tego ma sześć innych schorzeń.

— Dlaczego doprowadził się pan do takiego stanu? — pyta doktor Radzikowa.

Odpowiedź Formaliny ginie w chrząstce, skrzypieniu i charkocie, wydobywającym się z jego piersi.

Historia tragiczna. We wrześniu zjawila się kobieta lat 30, lekko zaniepokojona skierowaniem jej tu przez znajomego lekarza. Badania potwierdziły prawdę: nowotwór płuc nieoperacyjny z przerzutami do kości kręgosłupa. Pozostało tylko leczenie chemią i promieniami. Leżała najpierw w szpitalu, potem w domu, dojeżdżając na kropelki. Straciła włosy w kwietniu przyjechała po raz ostatni, w maju zmarła.

Historia prawie wesoła. Idzie pani Skalbowa, a raczej wlece się — przyklejona do ściany, ze swoją padaczką, cukrzycą, mocznicą, procesem zatłoczenia-zakrzepowym i przewlekłym niezłym oskrzeli całą w strachu, żeby nie upaść i żeby ktoś nie doniósł, że wstała.

Patrzy, a tu — dziecko! Koszulka z falbanką przed kolaną, nóżki na bosaka, za uszami kitki. Pomyślała, że co za czasy nastały, nawet dzieci chorują na płuca. I zaniechawszy zbytniej forsywanej wyprawy do łazienki, wróciła do sali.

— Siostrze — zawołała — na co choruje to dziecko, które stoi w korytarzu?

— Jakie dziecko?

Siostra Maria przetarła szklą i porzła szukać dziecka. A znalazła babcię...

Historia z przestroga. Pewien pan lat 40, w znakomitym zdrowiu wybrał się na działkę, by opryskać drzewka preparatem o nazwie „gramoxon”. Pan ten najpierw pryskał drzewka nie zakładając maski, a potem pomylił butelki i zamiast wina napił się „gramoxonu”. Komplikacje płucno-laryngologiczne okazały się nie do wyleczenia...

Niedzielnego popołudnia. Nadejścia pacjenci z przepustek. W pokoju pielęgniarek gra ciszone radio. Korytarzem przesuwają się siostra Ula, którą Alek nazywa „squaw” z powodu egzotycznej urody. Wpadła na chwilę oddziałowa Łodzia Malkiewicz w czymś białym i puszystym, by sprawdzić grafik.

Z początku nikt nie wie i wszystko wydaje się jak zawsze. Dopiero po paru chwilach staje się wiadome, że za zamkniętymi drzwiami jednej z sal dzieje się sprawa ostateczna. Umiera pan Kazio. Podobno jeszcze dziś rano widział go ktoś na schodach...

Niespodzianie Sławek, ten z „sarkoidozą”, występuje z wierszem: „Kiedy spojrzymy przed siebie — krótkie kiedy spojrzymy przed siebie — krótkie takie to życie malutkie...”

Skrzypi wózek. Snieżynka wiezie podwieczorek: mleko w wiadrze i miednicę pełną ciastek.

— Na kolację będą flaczki — mówi. Z pokoju pani Dec dobiega stłumiony kaszel. Za oknem słońce po zachodzie zostawiło kilka ciepłych smug. Niedługo pora na zastrzyk. Był to na prawdę ładny dzień. Dobry dzień dla płucników.

(Fragment reportażu z przygotowywanego do druku książki pt. „Kochać łapczywie”, która ukaże się nakładem Lubuskiego Komitetu Upowszechniania Prasy)

Sytuacja w republikach nadbałtyckich ZSRR budzi duże zainteresowanie. Powstały tam mianowicie tzw. fronty ludowe. Za podstawowe zadanie stawiają sobie one uzyskanie suwerenności republik nadbałtyckich, które przekształcić się miałyby w samodzielne organy państwowe. W gestii władz ZSRR pozostałyby tylko sprawy obronności i polityki zagranicznej.

Front Ludowy Łotwy proponuje, by konstytucja związkowa i republikańska rozgraniczały kompetencje federacji i republik, dając tym ostatnim prawo weta w rozwiązywaniu najważniejszych dla nich spraw. Podkreśla się prawo Łotwy do nawiązywania samodzielnego kontaktów z innymi państwami, łącznie z ustanowieniem z nimi stosunków dyplomatycznych.

W dziedzinie wewnętrznej Front Ludowy Estonii opowiada się za stworzeniem państwa, w którym nastąpiłby rozdział władzy wykonawczej, ustawodawczej i sądowniczej, a więc powrót do klasycznej formuły demokracji. Nie pozostaje tu już wiele z koncepcji rad jako jedynych organów władzy.

porządkowane by były republiki. Przy znalezieniu jej również prawo do swobodnego dysponowania swymi zasobami naturalnymi. Samodzielnie ustalała by ona swój budżet a także plany rozwoju gospodarczego.

Zamierzenia frontów ludowych republik nadbałtyckich znacząco wzmocniły rewolucyjny przełom w dotychczasowej egzystencji tych republik. Proponuje się daleko idące przeobrażenia gospodarcze, przewidujące m.in. swobodny rozwój inicjatywy prywatnej. W programie F.L. Estonii czytamy na ten temat, co następuje: „Prywatna własność środków produkcji nie może być zasadą obowiązującą tylko tymczasowo”. F.L. popiera ideę przekazywania przedsiębiorstw państwowych załogom, spółdzielcom, organizacjom społecznym i osobom prywatnym. Ziemię przekazać by rolnikom w wieczystą dzierżawę, tzn. nastąpiłby powrót do gospodarstw indywidualnych. Przebudowa struktur produkcyjnych stawia przede wszystkim na tradycyjną gałąź gospodarki republik nadbałtyckich — na rolnictwo. Jego plody i przetwory byłyby

O NOWĄ TWARZ PARTII

Ciąg dalszy ze str. 1

przyspiesza się podejmowanie decyzji. Podział kompetencji zwalnia od zajmowania się podobnymi (często tymi samymi) problemami przez różne szczeble partyjne. Aparat mniej urzędowy, obrotowy, a więcej rozmawia z ludźmi, przebywa w miejscu pracy, uczestniczy w rozwiązywaniu nabrańniętych problemów. Do rozwiązywania nabrańniętych problemów włącza się sojuszników z ZSL i SD a także innych organizacji i stowarzyszeń. Koalicję jest zastępowana coraz częściej pluralizmem. Ta zdrowa tendencja się rozwija, lecz nie jest jeszcze powszechna.

— Coraz wyraźniej akcentuje się też potrzebę rozdzielania roli PZPR od funkcji spełnianych przez administrację...

— Rozdzielenie partii od funkcji administracyjnych wynika z upowszechnienia w działalności partyjnej metod politycznych. Administrowanie pozostało tam, gdzie mamy do czynienia z brakiem kwalifikowanych kadr i dojrzałości politycznej platformy rozstrzygnięć. Dlatego wygodniej jest sięgać po metody administracyjne. Ale myśla się ci, którzy jeszcze próbują je zastosować, że są one skuteczne na dłuższą metę. Świadomość coraz szerszych grup społecznych zmusza do pracy politycznej i edukacyjnej, bez nakazów i zakazów, na rzecz przekonania o słuszności swego stanowiska i pozyskiwania dla określonej idei i sprawy. W naszym społeczeństwie bardzo krytycznie nastawionym do każdej władzy tylko metody dyktanda, przekonywania, kompromisowości mogą prowadzić do porozumienia.

— Jak zatem przedstawia się najjaśniejsze wysiłki partyjnego aktywu w poszerzaniu bazy społecznego zaufania?

— W naszym województwie już od dawna nie mamy przejawów arogancji władzy, mentorstwa, przesadnego dyktandu. Tam gdzie były takie wypadki w ciągu ostatnich dwóch lat nastąpiły

zmiany kadrowe i to na wniosek oddolnych demokratycznie podejmowanych inicjatyw.

Wizerunek PZPR w społeczeństwie nie jest pozytywny. Wiemy, że winą za krach narodowych marzeń i aspiracji obciążano PZPR. Na brak zaufania do partii ma wpływ spustoszenie ideowe, które zostało wywołane kryzysem światowego systemu socjalistycznego i międzynarodowego ruchu robotniczego. Najbardziej krytyczne nastawienie do władzy ma młode pokolenie, które nie może pogodzić się z sytuacją kryzysową. Tylko konkretne działania na rzecz przezwyciężenia wszelkich trudności, a nie werbalne deklaracje mogą przywrócić społeczne zaufanie do partii. Rozwiązywanie nabrańniętych problemów w miastach i wsiach jest warunkiem poszerzania bazy społecznego zaufania. Aktywność partii w Zielonogórskim jest świadomym swym role w procesie przeobrażeń dokonujących się w środowisku własnego działania. Pozytywnym przykładem może być od lat pomyślnie realizowana aktywność w budowie szkół, przedszkoli, a także społecznej rozbudowie obiektów służby zdrowia. Na podkreślenie zasługuje społeczna aktywność w upowszechnianiu kultury. Nie oznacza to, że we wszystkich sferach aktywność partii ma sukcesy, są i porażki. Ale świadomość, że tylko liczą się czyny w społecznej aprobacie, jest dużym postępem w działalności na rzecz pozyskiwania ludzi. Dzisiaj, kiedy porządkujemy gospodarkę, kiedy będzie coraz mniej świadczących na realizację ważnych z punktu społecznego celów, trzeba jeszcze większą trafność w podejmowaniu decyzji i większe prace wyjaśniające, by pozyskać wiarygodność społeczeństwa.

— W wyniku kryzysu gospodarczego, ale przecież także i społeczno-politycznego szczególna pauperyzacja dotknęła inteligencję. Zarazem wystąpił wyraźny spadek zainteresowania społeczeństwa wartościami kultury, w tym — kultury socjalistycznej. Zatem, jakie działania winno się podejmować na rzecz zbliżenia zielonogórskiej inteligencji do polityki kulturalnej partii oraz ochrony de-

precjonowanych wartości kulturowych, wypracowanych w latach Polski Ludowej, a wcześniej — przez polską lewicę intelektualną?

— Jest to najsmutniejsze zjawisko. Ta warstwa społeczna jest szczególnie zagrożona i znajduje się w depresji. Często nie ma wpływu na wielkość dochodu narodowego, ale najbardziej odczuwa jego spadek. Od kondycji inteligencji zależy wiele. Nie może być przywództwa ideowego partii bez wartości podstawowych, intelektualnych. Tylko z udziałem inteligencji partia może się reformować, może dokonać teoretycznych i ideologicznych przeobrażeń. Dzisiaj trzeba tworzyć minimum ładu ideologicznego. W obronie kultury narodowej chronimy książki, które jeżeli nie dziś to w niedalekiej przyszłości będą kształtować świadomość obywateli. W ostatnich latach w woj. zielonogórskim otwarto 9 gminnych domów książki. Nastąpił renesans twórczości chóralnej i zespołów muzycznych. Oczekujemy opieki młode talenty poprzez sieć ognisk muzycznych. Tworzymy coraz lepsze warunki dla artystów, a także rozwijamy amatorski ruch teatralny, studencki ruch artystyczny. Opiekę odczytaliśmy robotniczy ruch twórczości kultury. Z piętnastem odnosimy się do zespołów folklorystycznych. Na miarę wojewódzkich możliwości tworzymy warunki do pracy instytucji kultury (np. remont teatru im. L. Kruczkowskiego, rozbudowa Filharmonii) Dbamy o zabytki kultury. Kształcimy kadry dla działalności kulturalnej. Przygotowujemy nową bazę poligraficzną. To tylko niektóre przedsięwzięcia, ale jakie odbiegają od kryzysowych sytuacji w innych sferach. Ale pamiętajmy, że przez kulturę i oświatę dotrzemy do pomyślnego rozwiązania innych problemów. I o tym pamiętajmy, gdy dokonujemy trudnego wyboru przy podziale funduszy przyznanych na rozwój miast i wsi.

— Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał: ZENON LUKASZEWICZ

Doc. dr hab. Krzysztof Kaszyński jest dyrektorem Instytutu Nauk Politycznych Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Zielonej Górze. Autor m.in. książki: „Świadomość socjalistyczna. Z teorii i praktyki” (1977) oraz „Ideologia i jej funkcja społeczna” (1988). Sekretarz KW PZPR w Zielonej Górze.

NADBAŁTYCKIE SPORY

Fronty ludowe opowiadają się też za powołaniem w każdej z republik trybunału konstytucyjnego, który byłby organem całkowicie niezależnym.

Głównym elementem programu frontów ludowych Litwy, Łotwy i Estonii jest ściśle przestrzeganie praw człowieka. Żąda się, by prawa człowieka traktowane były zgodnie z powszechnie uznanymi dokumentami międzynarodowymi: Powszechną Deklaracją Praw Człowieka, Paktem Praw Obywatelskich i Politycznych oraz Paktem Praw Gospodarczych, Społecznych i Kulturalnych. Wszystkie te dokumenty zostały uchwalone przez Organizację Narodów Zjednoczonych i wzięte razem stanowią Kartę Praw Człowieka i Obywatela.

Fronty ludowe krajów nadbałtyckich postulują też pełną realizację zasad ja wności w życiu państwowym i społecznym, by każdy obywatel miał zapewnione prawo do uzyskania wszechstronnej informacji w interesującej go kwestii, a także na drodze sądowej dochodzić jej wiarygodności. Żąda się zniesienia cenzury prewencyjnej. Postuluje się uznanie zasady swobodnych wyjazdów za granicę i traktowania paszportu jako dokumentu będącego w osobistym władaniu obywatela.

Część dokumentów programowych frontów ludowych zajmuje się oceną okresu stalinowskiego.

Masowe represje, deportacje i inne przestępstwa stalinowskie powinny być uznane za zbrodnię przeciwko ludzkości. Należy je określić mianem zbrodni ludobójstwa. Powszechnie żąda się, by opublikować listę osób bezpośrednich winowajców i aktywnych wykonawców zbrodni stalinowskich.

F.L. Estonii proponuje, aby podać do wiadomości publicznej także listę ofiar represji i godnego uczenia ich pamięci, oraz przeprowadzić rewizję spraw nie tylko osób bezprawnie represjonowanych w latach 40-tych i 50-tych, ale również skazanych w latach 1980-1989 z powodu działalności politycznej i religijnej. Uważa się też za konieczną rewizję Kodeksu Karnego. Chodzi o to, aby był on zgodny z zasadami demokratycznego, praworządnego państwa.

Fronty ludowe domagają się, aby skazani przez sąd przestępcy odbywali karę na terenie danej republiki. Niedopuszczalne jest wywożenie ich w tzw. oddalone regiony ZSRR. Również niedopuszczalne przywożenie z innych republik na terytorium łotewskie lub estońskie tu na stałe po odbyciu kary. Na własnym mówiąc przeciwko temu samemu protestują mieszkańcy Syberii.

Najważniejszą sprawą, jaką proponują rozwiązać fronty ludowe, są problemy ekonomiczne. Uważa się, że wprowadzenie rachunku gospodarczego jest niezbędnym warunkiem i częścią składową suwerenności republik. Jak ta samodzielność ma wyglądać? Stosunki handlowe — gospodarcze z innymi rejonami ZSRR miałyby być utrzymywane na zasadach rynkowych, przy całkowitej swobodzie działania na rynku światowym. Wszystkie przedsiębiorstwa, w tym również należące do przemysłu kluczowego podlegającego centrum i pracujące na rzecz całego kraju — pod

sprzedawane przez republiki samodzielnie za granicę. Już dzisiaj jednak stawia się pytanie, gdzie można będzie znaleźć tych nabywców. Na EWG nie ma co liczyć, bo ona sama ma poważne nadwyżki żywnościowe, więc zapewne trzeba będzie je sprzedawać innym republikom radzieckim.

Będą one płacić swoimi towarami bądź też rublami, w tym drugim jednak wypadku koliduje to wyraźnie z programem F.L., który stwierdza, że w prowadzeniu wysoko wydajnej gospodarki potrzebne są waluty wymienialne. Czas pokaże jak się to wszystko ułoży.

Pojawiają się też pytania. Czy taka gospodarka nie prowadzi do izolacji od reszty kraju, chociaż i w tej „reszcie” dokonują się przecież rewolucyjne przemiany. Ponadto, czy dążenie do politycznej samodzielności i nawiązywania kontaktów międzynarodowych nie stwarza ryzyka separatyzmu? Jednak już dziś Ukraina i Białoruś jako suwerenne republiki wchodzi w skład ONZ, dlatego więc republiki nadbałtyckie nie miałyby uczestniczyć w działalności organizacji międzynarodowych a nawet w swobodnym nawiązywaniu stosunków z innymi państwami? Na tym przecież polega suwerenność każdego kraju, a jak stwierdza fronty ludowe, republiki nadbałtyckie są suwerennymi państwami wchodzącymi w skład ZSRR. Atrybutem suwerenności byłoby też przyznanie obywatelstwa litewskiego, łotewskiego i estońskiego mieszkańcom tych krajów.

Podsumowując aktywne działania w sferze stosunków międzynarodowych programy frontów ludowych podejmują też walkę o proklamowanie strefy nadbałtyckiej strefą bezatomową oraz wycofanie z tego terytorium broni jądrowej.

Najważniejszą w programach F.L. republik nadbałtyckich jest niewątpliwie kwestia narodowościowa. Podjęta przez nie krytyka stalinowskiej koncepcji i praktyki w dziedzinie stosunków narodowościowych skupia wokół nich najszersze rzesze rodzonej ludności Litwy, Łotwy i Estonii. Krytyka ta stwierdza m.in. „Gdy brutalnie gwałcono suwerenność różnych formacji narodowościowych, gdy całe narody zostały przesiedlone ze swych rodzinnych terytoriów, — doprowadziło to do zniszczenia małych narodów, do ograniczenia funkcji języka, do ogromnej redukcji potencjału etnicznego poszczególnych narodów, do ograniczenia rozwoju ich kultur narodowych”.

Fronty ludowe proponują, aby języki narodowe tych republik stały się językami państwowymi. Język rosyjski zaś pozostałby językiem kontaktów pomiędzy poszczególnymi narodowościami ZSRR.

Przebudowa i demokratyzacja w ZSRR otwierają możliwości zmian. Potwierdza to uchwały ostatniej sesji Rady Najwyższej Związku Radzieckiego i tezy wygłoszonego tam programowego przemówienia Michaiła Gorbaczowa.

MICHAŁ HOROWICZ

REWOLUCJA KRASNOLUDKÓW

Ciąg dalszy ze str. 1

„Ogromnie lubię ludzi z PPS, w większości są moimi przyjaciółmi i myślę o nich czule, ale z intelektualnego punktu widzenia powróć do koncepcji programowej XIX wieku jest dla mnie śmieszny, bez względu na głośnie hasła. To jest muzealnictwo i historyzm. XIX-wieczna spuścizna myślenia tradycyjnymi, w gruncie rzeczy konserwatywnymi kategoriami niczego nie zmienia (...). Poszedłem na spotkanie PPS-u, posłuchałem i myślę: baza ideologiczna słaba, w samej deklaracji brak spójności, poczucia humoru na lekarstwo, myślałem, że przynajmniej będą się tytułować per towarzyszu, ale nie...”

Obchody Międzynarodowego Dnia Dziecka zostały wykorzystane do zorganizowania ulicznych happeningów pod hasłem „Rewolucja krasnoludków”. Poprzedził je kolportaż ulotek o treści: „Rewolucja krasnoludków nie może od być się bez ciebie! Jej los jest w Twoich rękach. Jeśli nie masz obu rąk, przygotuj się starannie. Duchową łączność ze sprawą zmanifestujesz czerwonymi szalikami (...). Miałeś wdziane standardy rewolucji. Uwaga! Osoby pozbawione czerwonych akcentów będą nie udzielające poparcia dla sprawy rewolucji, a przebywające w rejonie wydarzeń, będą narażone na szkodę i represje ze strony Strażników Rewolucji...”

Z konieczności, przedstawione zostały najważniejsze akcje spektakularne zorganizowane przez młodzieżowe ruchy alternatywne, przy aktywnym poparciu działaczy „Niezależnego Zrzeszenia Studentów”, Ruchu „Wolność i Pokój” oraz „Federacji Młodzieży Walecznej”. Happeningi odbywały się w dużych ośrodkach skupiających młodzież studencką.

Czy istotnie ruchy alternatywne to tylko — happening, zabawa, reakcja kpiną i śmiechem na rytuały, na tradycję pompadurzystycznych akademii ku czci, na surrealizm gospodarczy i polityczny? Czy też walka polityczna? Ruch ten w ostatnich latach coraz bardziej się upolitycznia. Czas jednak pokaze, czy te zadymy pozostaną zabawą, czy staną się zaprawą do przyszłych bojkotów z władzą, a w szczególności ze służbami porządkowymi. Należy się raczej wstrzymać z jednoznaczną oceną happeningów. Trudności ze zdefiniowaniem ich działalności wynikają z tego, iż twórcy tego ruchu nigdy nie wydali czegoś w rodzaju manifestu czy deklaracji programowej. Przyznają jednak, że „czasem robimy zadymy na zamówienie pewnych grup opozycyjnych”, bywają też obiektem manipulacji ze strony działaczy podziemnej „Solidarności” i innych struktur opozycyjnie nastawionych do władzy.

Zdawać sobie też musimy sprawę, że w tej i wielu innych sprawach musimy przyzwyczaić się do normalności, w ramach której znajduje się dla wielu rolę przeciwności, czy kontrowersyjność, ale niech one będą spełniane bez agresji i zakłócania porządku publicznego. Musimy oswoląć się z myślenia, że ruchy

organizowane przez młodzieżowe ruchy alternatywne, przy aktywnym poparciu działaczy „Niezależnego Zrzeszenia Studentów”, Ruchu „Wolność i Pokój” oraz „Federacji Młodzieży Walecznej”. Happeningi odbywały się w dużych ośrodkach skupiających młodzież studencką.

Czy istotnie ruchy alternatywne to tylko — happening, zabawa, reakcja kpiną i śmiechem na rytuały, na tradycję pompadurzystycznych akademii ku czci, na surrealizm gospodarczy i polityczny? Czy też walka polityczna? Ruch ten w ostatnich latach coraz bardziej się upolitycznia. Czas jednak pokaze, czy te zadymy pozostaną zabawą, czy staną się zaprawą do przyszłych bojkotów z władzą, a w szczególności ze służbami porządkowymi. Należy się raczej wstrzymać z jednoznaczną oceną happeningów. Trudności ze zdefiniowaniem ich działalności wynikają z tego, iż twórcy tego ruchu nigdy nie wydali czegoś w rodzaju manifestu czy deklaracji programowej. Przyznają jednak, że „czasem robimy zadymy na zamówienie pewnych grup opozycyjnych”, bywają też obiektem manipulacji ze strony działaczy podziemnej „Solidarności” i innych struktur opozycyjnie nastawionych do władzy.

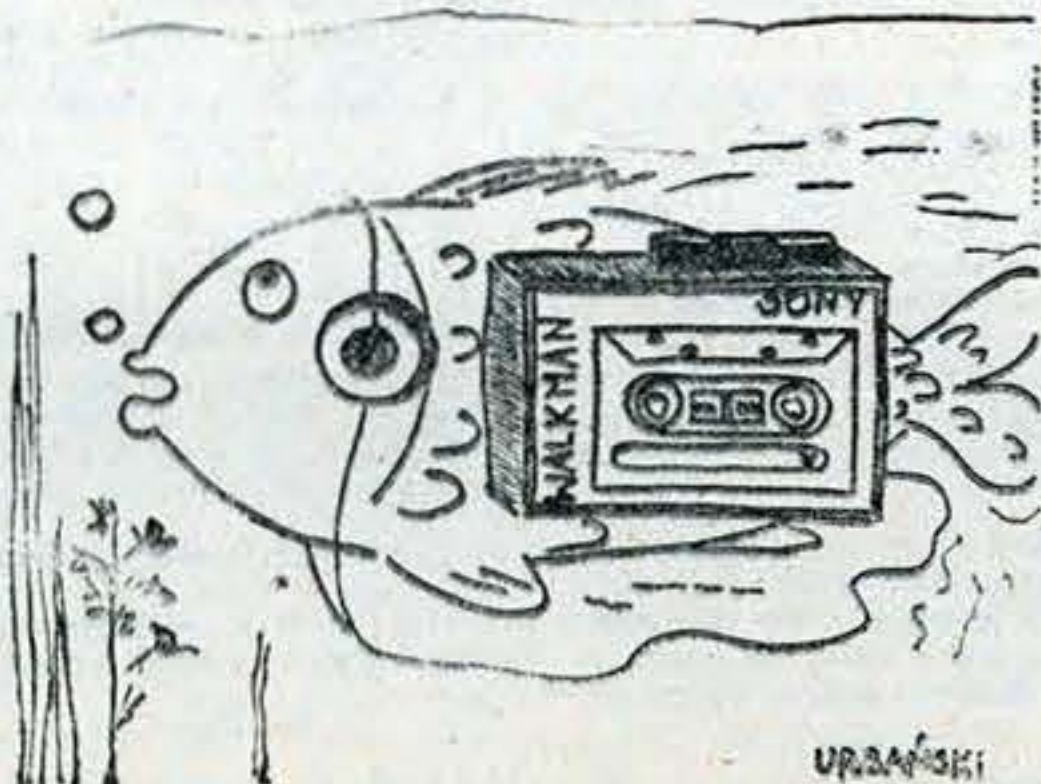
Zdawać sobie też musimy sprawę, że w tej i wielu innych sprawach musimy przyzwyczaić się do normalności, w ramach której znajduje się dla wielu rolę przeciwności, czy kontrowersyjność, ale niech one będą spełniane bez agresji i zakłócania porządku publicznego. Musimy oswoląć się z myślenia, że ruchy

nieformalizowane będą się rozwijać i tego procesu całkowicie nie da się zahamować. Jest to tendencja ogólnogłówna. Należy myśleć raczej jak nimi sterować, aby nie były one wykorzystywane do celów antypaństwowych. Istnieje potrzeba odpowiedniego skanalizowania działalności ruchów niezależnych, zgodnie z interesami socjalistycznego państwa.

Trzeba pozwolić młodzieży tworzyć takie stowarzyszenia i takie organizacje, które mieszczą się w ramach zasad konstytucyjnych i nie naruszają porządku państwa. Trzeba zerwać z dotychczasowym modelem kształtowania postaw — bierny, mierny, ale wierny — a w praktyce jeśli nie indyferentny politycznie to szukający swojego miejsca na emigracji. Szkoły i organizacje młodzieżowe, jeśli mają przygotować młode pokolenie do życia we współczesnym świecie, to muszą również uwzględnić fakt, że de facto żyjemy w społeczeństwie pluralistycznym. Musi to więc być człowiek dojrzały, przygotowany do realizacji zadań w socjalistycznym państwie, zdający sobie sprawę, jaka jest różnica między niezgodzeniem się z czymś i poglądami, a potępieniem człowieka, który je głosi. Młodzież chętnie wstępuje do takich organizacji, które oferują coś pasjonującego, innowacyjnego, twórczego, gdzie istnieje możliwość artykulacji zainteresowań.

Rosnące zainteresowanie ruchami alternatywnymi wykazują zachodnie środowiska masowego przekazu i ośrodki dywersji ideologicznej. Nagłaśniają one to zjawisko interpretując je w kategoriach „drastycznego wzrostu opozycyjności” wśród polskiej młodzieży, traktując ją jako cenny „zastrzyk świeżej krwi” w zastany już organizm „starej opozycji”. Kto zna młodzież i historię ruchów młodzieżowych, to przecież wie, że większość tych organizacji była efemerydą i wraz z upływem czasu zniknęła z życia politycznego, tak jak mija młodzież. W działalności organizacyjnej ruchy alternatywne opierają się na kilku naczyniach, to kilkudziesięciu aktywistów, z których część być może zasili szeregi opozycji politycznej, a inni po „wyrzuceniu” z organizacji, dojdą do „wyrzucenia” z rodziny i obojętności na sprawy polityczne i obojętności naszego kraju.

Demokracja, ludowładztwo polega na dzieleniu się władzą i odpowiedzialnością. Demokracja nie jest celem samym w sobie, jest jedyną drogą do upamiętnienia społeczeństwa, do budzenia w ludziach poczucia odpowiedzialności za siebie, najbliższych, za kraj.



RYS. SŁAWOMIR URBAŃSKI

„Gdybym chciał cię zjeść,
to co byś powiedziała?...”
(z rep. „Nieżywych Schadów”)

Roskpany grób, otwarta trumna i wyjęte z niej obnażone zwłoki kobiety. Młody blondwłos mężczyzna wbia szyćel w klatkę piersiową i rozcina ciało. Przegląda się temu pięciu jego kolegów. Czeka, aż blondyn wydobędzie wnętrzności i serce.

Peter Hartwurt naciska guzik i zatrzymuje video. Ta kiepskiej jakości kaseta jest podziemnym dokumentem amerykańskiej patologii z cyklu „Oblicza śmierci”. Ciekawe, jak Peter wszedł w jej posiadanie? Ale on mówi tylko, że jest to jego ulubiony film.

Był studentem biologii. Obecnie ma 30 lat i chwytą się różnym zajęć. Mieszka w małym miasteczku w Bawarii. Zajmuje pokój, a kuchnię, łazienkę i hall dzieli z innymi lokatorami.

Zna dokładnie sprawę Sokassy. Z wyraźną przyjemnością przytacza szczegóły o tym, co działo się w Bangui, stolicy Republiki Środkowoafrykańskiej. Kucharz cesarza Philippe Linguissa opowiadał przed sądem o ulubionych potrawach swego pana, które przyrządzał mu z ludzkiego mięsa oraz o makabrycznych zapasach w pałacowej spiżarni.

— No cóż, kanibalizm jest internacjonalny — wzrusza ramionami Peter — istnieje na całym świecie. W głębokim ukryciu, rzecz jasna.

Mając 15 lat palił haszysz. Pewnego dnia ukryty w domowej rupiecarni

Karl-Dieter Hagewart nie jest sam. Zaprzysiężona grupa liczy kilkunastu mężczyzn. Ich ideałem jest siła. Słabością pogardzają.

Siła wymaga ofiar.

— Spełnieniem najwyższym byłaby ofiara ludzka — mówi Karl-Dieter — najlepiej z żywego niemowlęcia.

Hagewart i jego towarzysze nie odważyli się, jak dotąd, dokonać rytualnego mordu. Zadowolają się krwią. Skąd ją biorą?

Tajemnica. Każdy „organizuje” sobie krew we własnym zakresie. Karl-Dieter nie może mówić o innych. Za to powie o sobie. Jemu przynosi krew przyjaciel imieniem Matthias, pracujący w szpitalu jako sanitariusz.

Karl-Dieter i Matthias stanowią „magiczne komando”. Złazeni są „wiecznym paktem krwi”. Upuścili jej sobie po trochu, wymieszali i wypili braterski drink. Teraz każdy posiada część drugiego.

Wolfgang Wienter, księgarz z Achem, twierdzi, że ludzki mózg zjedzony i strawiony ma niesamowity wpływ na potencję. Już w nie długim czasie po zjedzeniu nawet małej ilości, człowieka ogarnia nadzwyczajne podniecenie seksualne.

kontakty z radcą prawnym Wolfgangiem Schulze, stającym w okolicy z posiadania nieprawdopodobnej ilości literatury horrorystycznej.

— W niektórych prymitywnych społeczeństwach hodowano dziewczyny specjalnie na mięso — ciągnie Wienter. — Po dokonaniu ofiary kapłani przyrządzali boską ucztę tylko dla mężczyzn. Kobiety nie miały prawa zasiadać.

Ulubioną postacią Wientera jest słynny wielokrotny morderca z lat 20-tych Fritz Haarman, zwany „wampirem z Hannoveru”. Piosenką o nim kończy swój „występ” w kawiarni:

Posłuchajcie, mówię szczerze
Haarman mieszka w Hannoverze
i nie będziecie w siódmym niebie
kiedy przyjdzie on do ciebie.

Pokroi cię najpierw w kratkę,
z wątroby zrobi salatkę,
serce porobi w talarki,
sądło przetopi na skwarki.

Dłę skręci i z tej masy
narobi sobie kielbasy,
gdy zje mózg, to się podnieci
a reszta pójdzie do śmieci.

(przekład)

Hartwurt, Hagewart, Wienter oraz Kiss-Maerth i jego wyznawcy nie są postaciami z filmów grozy. Żyją naprawdę — w latach 80-tych w cywilizowanej Europie. Trafili do nich zachodniomiejscy dziennikarze, którzy przytaczają przy tej okazji kilka głośnych przypadków kanibalizmu.

Na terenie dawnego parku podworskiego byłej rezydencji hrabiów Kalkreuthów w Koźuchowie, w obudowaniu nieczynnej fontanny, leżą trzy fragmenty nagrobkowe zmarłego tutaj 22 lipca 1800 roku Salomona Maimona, jednego z najbardziej znanych polskich interpretatorów filozofii królewskiego mędrca Immanuela Kanta.

Ostatnie lata swego życia Maimon spędził w posiadłości Kalkreuthów w Podbrzeziu Dolnym koło Koźuchowa. W mieście nie było cmentarza żydowskiego. Pochowania zmarłego na cmentarzach chrześcijańskich Koźuchowa odmówiono. Protektor filozofa, hrabia Jan Wilhelm Adolf Kalkreuth, polecił więc złożyć jego zwłoki w parku pałacowym, upamiętniając nekropolią kamiennym nagrobkiem i zbudowaną tu obok fontanną.

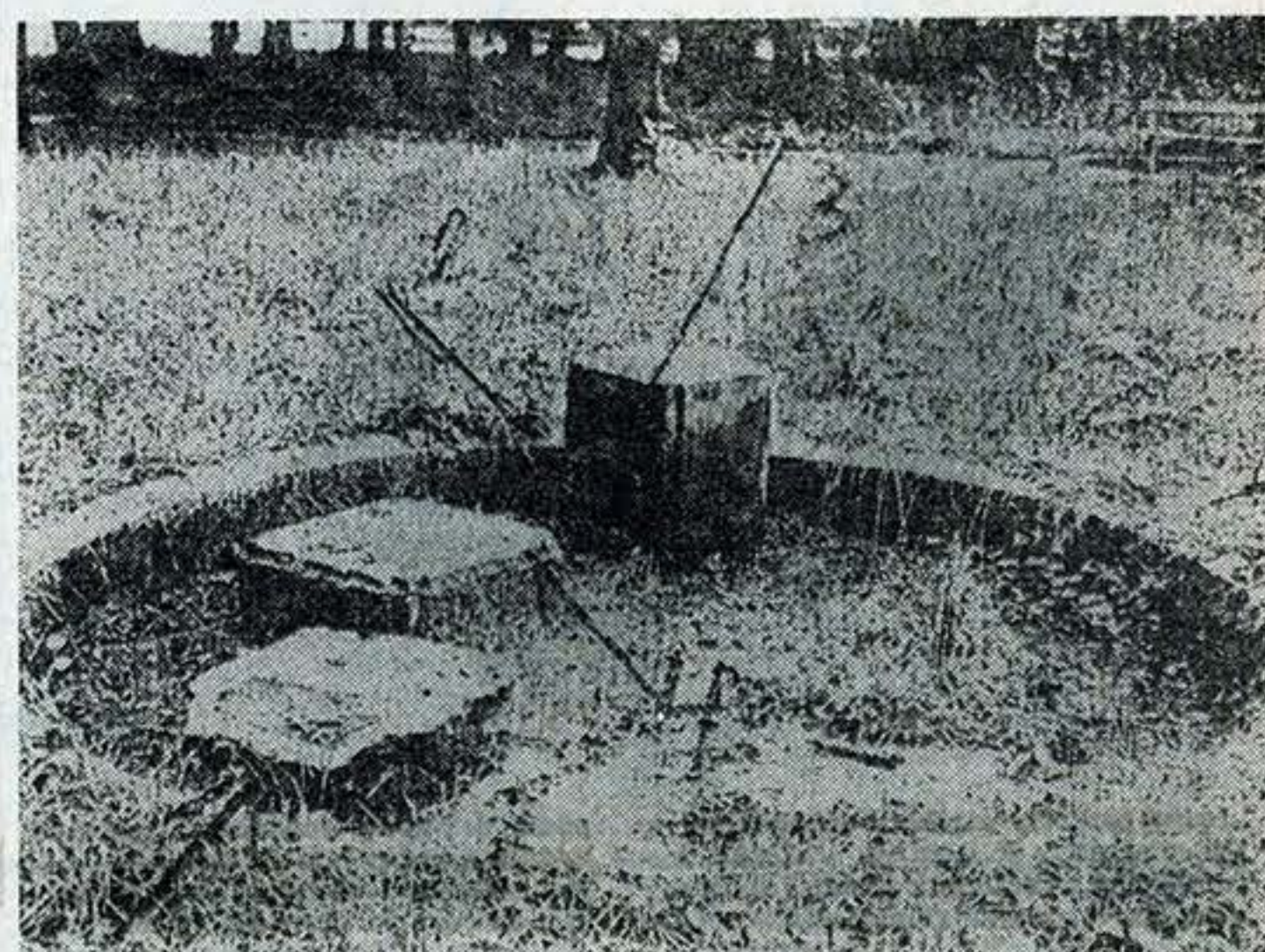
Salomon ben Jehoszua Maimon urodził się w Suchowiborzu koło Nieświeża w roku 1753 w rodzinie wędrownego nauczyciela talmudysty. Zamiarem ojca było wychować syna na rabina. Salomon uczęszczał do różnych szkół talmudycznych, ale marzył o medycynie. W roku 1778, bez środków do ży-

wem naturalnym, estetyką; nie obce mu były zagadnienia z dziedziny matematyki, fizyki i medycyny. Jego dorobek obejmuje kilkanaście pozycji książkowych i kilkadziesiąt rozpraw, artykułów, komentarzy i recenzji. Do najważniejszych prac, obok „Krytycznych uwag...” należy wydana w roku 1790 w Berlinie rozprawa o filozofii transcendentalnej, oparta na uwagach sporządzonych w trakcie studiów nad Kantem. Rozprawa ta uzyskała bardzo przychylny komentarz samego Immanuela Kanta. Dzieło swoje Maimon, jako urodzony na ziemiach polskich, dedykował królowi polskiemu Stanisławowi Augustowi Poniatowskiemu.

W roku 1792 Salomon Maimon wydał niemieckojęzyczną autobiografię „Opis życia Salomona Maimona”, któ-

SALOMON MAIMON — POLSKI KANTYSTA Z KOŻUCHOWA

Jerzy Piotr Majchrzak



Nagrobek filozofa S. Maimona (1753-1800) znajdujący się na terenie parku w Koźuchowie (d. park przy pałacu w Podbrzeziu Dolnym). Stan — czerwiec 1987.

cia, znalazł się w Królewcu z zamiarem podjęcia studiów medycznych. Nie długo zagral tu miejsca. Droga morską udał się do Szczecina i dalej pieszo do Berlina. Żydzi berlińscy potraktowali młodego Maimona niegościnnie. Uznany za kębraka został przez swoich odrzucony. Skrajnie wyczerpany znalazł się w Poznaniu. Miejscowy rabin Hirsch Charif zaopiekował się nim i zapewnił mu posadę nauczyciela. Salomon Maimon zyskał wkrótce opinię uczonnego talmudysty, zdobywając swoimi wykładami z filozofii Maimonidesa znaczny rozgłos. Po dwuletnim pobycie w Poznaniu ponownie wyjechał do Berlina, gdzie zaprzyjaźnił się ze znanym w kręgach oświeceniowych myślicielem Moseselem Mendelssohmem. Jemu zadedykował swój hebrajski komentarz do „Metafizyki” Christiana Wolffa. Znajomość z Mendelssohmem otworzyła mu salony zamownych i oświeconych Żydów. Pilnie studiując pisma Helwecjusza, Locka, Hume’a, Leibniza, Spinozy. Szczególnie panteizm Spinozy wywarł na Maimonie ogromne wrażenie. Zafascynowany poglądami amsterdamskiego filozofa bronił jego poglądów przed atakami zwolenników teologii racjonalnej Wolffa i filozofii zdrowego rozsądku, której między innymi holdował Mendelssohn. Na tym tle doszło między Maimonem a Mendelssohmem do ostrego konfliktu. Niezależność sądów, a także lekkomyślność trwał życia Maimona spowodowały, że oskarżono go o herezję. Zmuszony do opuszczenia Berlina wyjechał do Amsterdamu, a stamtąd do Hamburga. Żył w skrajnej nędzy.

W połowie lat osiemdziesiątych Maimon przybył do Wrocławia. Pracował nad podręcznikiem matematyki. Zajmował się ponadto filozofią naturalną Newtona. We Wrocławiu powstały też pierwsze szkice o Kancie. Po śmierci Mendelssohna w roku 1787 wrócił do Berlina. Poznał tutaj hrabię Jana Wilhelma Kalkreutha, który zaprosił go do swojej posiadłości. Podbrzezie Dolne koło Koźuchowa. Spędzone tu lata Salomon Maimon uważał za najszczęśliwszy okres w swoim życiu. Na pisał tutaj jedną ze swoich fundamentalnych prac „Krytyczne uwagi nad istotą ducha ludzkiego”, wydana drukiem w Lipsku w roku 1797. Dedykował ją Kalkreuthowi.

W swoich pracach Maimon zajmował się teorią poznania, logiką, pr-

rej wydanie polskojęzyczne ukazało się dopiero w roku 1913. Wartość tej publikacji polega na tym, że jest ona nader interesującym źródłem o życiu Żydów w Polsce i na Litwie w XVIII wie-

ku. Znaczenie Maimona w dziejach filozofii polskiej doceniono stosunkowo wcześnie. Już w roku 1821 profesor Kiemen Urnowski poświęcił mu odczyt na publicznym posiedzeniu Wydziału Filozoficznego Uniwersytetu Warszawskiego: „Rzecz o Salomonie Maimonie filozofie polskim”. A potem coraz bardziej popadał w zapomnienie.

Odkrycie miejsca ostatniego spoczynku tego wybitnego polskiego filozofa żydowskiego pochodzenia jest zasługą pani Róży Kasinowskiej z Poznania, znakomitej znawczyni zabytków kultury materialnej środkowego Nadodrza. Dokumentując stan zabytków naszego regionu natknęła się podczas swoich licznych wędrowek naukowych na kamienne fragmenty nagrobka, przypominające swoim kształtem i inskrypcjami żydowskie pomniki nagrobne. Z pasją rasowego badacza podjęła próbę wyjaśnienia znajdujących się w koźuchowskim parku kamiennych brwi. Posiadana wiedza i intuicja pozwoliły jej na wyjaśnienie tajemnicy. Tym samym skorygowane zostały nieścisłości zawarte w biogramie Salomona Maimona, umieszczonym w 19 tomie Polskiego Słownika Biograficznego, gdzie między innymi czytamy: „zmarł 22 listopada 1800 roku, uważany przez ortodoksów za odstępniaka, pochowany pod parkanem na cmentarzu żydowskim w Głogowie”.

Cenny dla kultury polskiej i europejskiej obiekt — nagrobek Salomona Maimona — musi zostać jak najszybciej orestaurowany i otoczony należytą opieką. Obecny stan nagrobka pozwala bez dużych nakładów finansowych dokonać tego zabiegu. Sprawa jest znana Wojewódzkiemu Konserwatorowi Zabytków w Zielonej Górze i władzom miejskim Koźuchowa. Także Ministerstwo Kultury i Sztuki doceniło wagę tego „późnego odkrycia”, obliczając pomoc przy pracach konserwatorskich nagrobka.

Od momentu identyfikacji kamiennych fragmentów nagrobka minął rok. W topografii miejsca nekropolii Salomona Maimona, jak do tej pory, nie się nie zmieniło.

KANIBALE

znalazł, należącą wcześniej do jego babci, staroniemiecką serię wydawniczą o nekrofilii.

— Był to dla mnie wstrząs, nieprawdopodobna fascynacja.

Ściany pokoju wykleił plakatami filmów: „Zjedzony za życia”, „Meneater”, „Kanibal Manu” oraz zdjęciami przedstawiającymi ludzką śmierć, m.in. sceny egzekucji przez powieszenie, ścięcie i rozstrzelanie.

— Sądzić należy, że kanibalizm był prapreligią człowieka — twierdzi Peter — wcielaniem siły ludzi zmarłych w żyjących.

Otwiera powleczone aksamitem skrzynie. Pełno w niej puszek, słoików, buteleczek. Wszystkie coś zawierają. W jednym z pojemników znajduje się „eliksir życia”: gęsta, zawieszona bryła własnej produkcji. Zbieranie składników do tego „cudownego” środka trwało, jak mówi Peter, miesiącami.

Kiedyś mieszkał w Monachium, gdzie pracował w instytucie patologii przy uniwersytecie. Do jego obowiązków należało mycie zwłok. Jest szczerzy.

— Zawsze coś uszczknąłem: strzęp wnętrzości, skrawek skóry, w najgorszym razie paznokieć. Raz wzięłem odciecię ucho. Niosąc je zdobywcę do domu czułem niebawale podniecenie. Zrobiłem sobie ucztę.

Wynosił po kryjomu próbki krwi oraz różnych narządów pobierane do badań. Kroił banana, dosypywał mączki kostnej i dodawał to, co przyniósł. Mieszał wszystko w afrykańskiej, drewnianej, misce i z wybieleniem północy zjadał.

— Czulem się wówczas mocny i za hartowany...

Jaskrawy ogień w starej żwirowni. W powietrzu swąd. Mężczyzna w czarnej pelerynie i masce Ku-Klux-Klanu dorzuca do ogniska.

To Karl-Dieter Hagewart, lat 28, z zawodu grafik. Mieszka w Bonn. Właśnie piecze rozłożone na metalowych prętach, wykradzione z grobu, części ludzkiego ciała. Przyrządził z tego później „esencjonalne sole”, które następnie „zaprzysięży magicznie”. Spożywanie tych soli wzmacnia ducha jego — i jego towarzyszy.

— Moje hobby, niebezpieczne i męczące, przypomina taki horror — mówi Karl-Dieter. — Dla mnie jest czymś normalnym. Wyprawy robię tylko podczas ulewnej deszczu, bo tylko wtedy nie spotkam nikogo na cmentarzu. Gdy znajdzie grób, ma się rozumieć, świeżo uspany, dokopuje się do trumny i wyciąga zwłoki. Potrzebne części odcina i pakuje do plastikowych toreb. Resztę wkładam na powrót do trumny. Wszystko porządkuję i przywracam miejscu wygląd taki, jaki zastałem.

Mówiąc to Karl-Dieter przeczesuje palcami swe siwe włosy, które pobielają mu sześć lat temu, w ciągu jednej nocy, podczas pewnego rytuału. Ale nie chce powiedzieć nic więcej na temat tego zdarzenia.

W swym mieszkaniu z dumą wskazuje na regał zajmujący prawie całą ścianę. Na półkach ołowiane urny i na pół zwęglone ludzkie kości. Polyskuje ostrzy sztylet z trupią główką i napisem „Inanna”. Obok na wieszaku czarne habity i wielki miecz.

Wolfgang od ośmiu lat zajmuje się kanibalizmem — i poza tym prawie niczym więcej. Swoją małą księgarnię nad Jeziorem Bodenskim tak zaniedbał i zadłużył, że zmuszony jest teraz ją zamknąć. Zburzył sobie również życie prywatne. Właśnie opuściła go przyjaciółka.

Mieszka sam, wśród książek, notatek, pism i wycinków z prasy. Wszystkie dotyczą jednego tematu. Pieniądże, jakie ma też przeznacza tylko na ten cel. Podróżuje, by odwiedzać biblioteki i stare składy książek. Zna wszystkie antykwariaty. Interesuje się też dziedzinami, które, jak mówi, zbliżają go do zagadnienia kanibalizmu: biologia, antropologia, medycyna, astrologia, religia, historia starożytności.

— Wszystko jest cudownie logiczne — mówi. — Pamiętacie biblijną przypowieść o Adamie i Ewie? Jabłko, ten zakazany owoc, symbolizuje ludzki mózg. Zjedzenie zakazanego owocu zrodziło grzech. Zjedzenie mózgu też rodzi grzech — podniecenie, pożądanie, chuci.

Wolfgang kaže się zastanowić nad sensem słów Ewangelii świętego Jana: kto spożywa ciało moje i pije krew moja, ten ma życie wieczne.

— Przecież to samo proponują kanibale! Pić krew, spożywać ciało, aby człowiek mógł żyć dalej w drugim ciele wieku, potem następnym, aż do wieczności.

Lśniące wody jeziora Lago di Como. Przegląda się w nich zawieszona na górkim zboczu Villa Passalacqua. W jej 146 pokojach rezyduje Oscar Kiss-Maerth, z pochodzenia Węgier. Zrobił wielkie pieniądze na wyrobach z plastiku. W najlepszych latach swego życia mieszkał w Hongkongu. Az nagle przerwał karierę przez myślowca i zamknął się w klasztorze. Tam sięgnął po pióro.

Obecnie ma 73 lata i nie opuszcza łóżka. Unieruchomiony został po wypadku, z którego wyszedł z pogruchotanymi kośćmi.

„Na początku był koniec. Człowiek powstał z kanibalizmu. Inteligencja jest spożywalna”. Oto niektóre z przesłań Kiss-Maertha.

„Kiedy małpy zaczęły zjadać mózgi i jądra innych małp, poczęły się rozwijać, aż osiągnęły stopień człowieka. Agresję zastąpił seks” — pisze w jednej ze swych prac.

Przyznaje, że sam próbował malpiego mózgu i odczuwał jego działanie w „dolnej części ciała”.

Oscar Kiss-Maerth początkowo miał sporo wielbicieli. Odeszli jednak, uznając go za wariata. Pozostał tylko jeden, nazwiskiem Wienter.

W długim, zielonym płaszczu, z pękiem notatek, wchodzi Wienter do kawiarni, by przy małym cappuccino wygłaszać teorie swego guru.

— Człowiek jest udoskonaloną formą małpy. Forma na razie zaprzestala rozwoju. Ale instynktownie rozwija pragnienie. Poszukuje drogi! Świadczy o tym filmy „zombi” pełne agresywnych scen mordowania ludzi przez ludzi i wzajemnego zjadania się! To są dowody rzeczowe!

Wienter posiada cenny zbiór książek, filmów i nagrań magnetofonowych, m.in. oryginalną kopię procesu Eichmanna w Izraelu oraz niezwykłe opowieści misjonarzy — dźwiękowe i filmowe, o obyczajach prymitywnych ludów w Afryce.

Poza wieloletnią przyjaźnią z Kiss-Maerthem, Wienter utrzymuje bliskie

Paryż, rok 1931. Syn japońskiego milionera Issai Segawa zabija do swego aparatury w XIV dzielnicy studentkę literatury Renée Hartvelt, mordując ją i ćwiartuje ciało.

„Odcina głowę, lepsze części chowa do lodówki i zjada powoli, kawałek po kawałku, kości chce zakopać w lesie, gdzie przypadkiem nakrywa go taksówkarz...” Tak mniej więcej brzmi treść sonetu pt. „Too much blood”, wykonywanego przez gwiazdora rocka Micka Jaggera na płycie „Undercover”.

Po dwuletnim pobycie w zakładzie psychiatrycznym Japończyk oświadczył, że chciałby jeszcze raz skosztować mięsa kobiety, ale już za jej uprzednią zgodą.

Moenchengadbach, rok 1983. Spacerowicz w ogrodzie botanicznym trafiają na 40 słoików weksa, zawierających ugotowane i obrane z kości ludzkie mięso. Policja szybko trafia do sprawcy. Jest nim 26-letnia striptizerka Martina Zimmermann. Udułła w kapieli swego kochanka, 34-letniego Hansa — Josefa Wirtza, ciało porabiała i część ugotowała, a część zamroziła.

Adwokat Martiny opowiadał w sądzie, że jego klientka wygotowane kości kochanka trzymała w sypialni. Z czaszką kładła się spać i czuła do niej przemawiającą. Od dawna zajmowała się spirytyzmem i okultyzmem. Wierzyła w reinkarnację. W jej mieszkaniu znaleziono martwe gady i wiele książek o tematyce kanibalistycznej. Wyrok brzmiał: osiem lat więzienia i dalszy pobyt w zakładzie zamkniętym.

Sąd dla nieletnich w jednym z miast RFN, rok 1987. Sprawa przy drzwiach zamkniętych. Szesnastoletni Matthias L. jakaję się opowiada, że już będąc małym chłopcem odczuwał chęć zjedzenia ludzkiej stopy. Całe swe życie, co wieczór przed zasnieniem wyobrażał sobie białą, delikatną nóżkę dziewczęcą, w której on zatapiał zęby. W jego wyobraźni właścicielka nóżki miała włosy jasno blond i niebieskie oczy.

Krótko przed świętami Bożego Narodzenia spotkał wymarzoną dziewczynę. Ugodził ją nożem i próbował przewrócić, ale uciekła.

Minęło kilka dni — i Matthias wybrał się do kina na film „Der Fan”. W filmie tym aktorka Désirée Nosbusch (widzeliśmy ją niedawno w TV, gdy wspólnie z Janem Niklasem, który w serialu „Piotr I” grał młodego cara, prowadzili uroczystość wręczenia europejskich „oskarów”, m.in. naszemu reżyserowi Kieślowskiemu za „Krótki film o zabijaniu”) zabija swego idola rockowego, ciało dzieli na części i zjada.

Film ten umocnił Matthiasa w zamiarze. Natychmiast po wyjściu z kina poszedł do dyskoteki, upatrzył sobie dziewczynę i zamierzył się na nią nożem. Mówił potem sądowni, że chciał uciąć jej stopę, włożyć do przygotowanej plastikowej torby i uciec. W rezultacie szmataniny odciał dziewczynę kawałek ucha i zjadł.

Psychiatrzy orzekli, że działanie chłopa miało podłoże seksualne. Sąd wydał wyrok pięciu lat więzienia i dalszy pobyt w zamkniętym zakładzie.

Z niemieckiego tłumaczyła i opracowała
BEATA BARTOSIEWICZ

Pomijając rozproszone wiersze, drukowane tu i ówdzie do roku 1970, za pierwszą programową wypowiedź poetycką Czesława Sobkowiaka należy uznać skromny, ale ważny zbiorek, pod wielce mówiącym tytułem „W białej koszuli” (LTK. Zielona Góra. 1970).

Arkusze, zawierający osiem wierszy, otwiera tekst z wyniesioną ponad tytuł dedykacją „Moim nauczycielom”. Ten niby kurtuazyjny gest wiejskiego maturzysty, z perspektywy osiemnastu lat, staje się jawną manifestacją. Zamyka bowiem pewien etap, jest formą pożegnania z okresem stratyfikacji samego poety, ale i jego poezji. W świadomości ułożonego młodzieńca, który jeszcze łąsy na zapachy ziemi stąpa po jej zagłębieniach, ufny i niezagrożony, pojawia się motyw odchodzenia. A więc pytanie: „czy jeśli odchodzę to ból pozostaje po mnie” („W białej koszuli”), implikuje całą serię wątpliwości. Poeta jest jeszcze przywiązany do określonego miejsca na ziemi, ale ów „punkt archimedesowy” uwiera go jak łańcuch psa podwózkowego, bo jak sam mówi: „jeszcze przed tobą jest wielka ziemia za jasionami” („Po słońcu”). Rozpada się więc młodzieńcza tożsamość. Antynomie osobowości zamykają się w pytaniach: „ile transportów z walizkami zmartwień / niepewnych / do budowania czerwieni owoców biegnącego w nowe tętnienie ulic” („W święto”). Z drugiej strony, powyższy niepokój zostaje jakby zawołany landszaftami poetyckimi, o wyraźnie konsolacyjnym charakterze:

II.

„Powieść w odcinkach” (Wrocław. 1974) jest, w ciągłym czynnym życiu twórca Sobkowiaka, czymś na kształt „kałmienia filozoficznego”. W tej debiutan-

Szkie do portretu

Czesław Markiewicz

ckiej z prawdziwego zdarzenia książce poetyckiej, poeta ulegając pewnym skompromitowanym mitom, przewartościowo je w sposób artystycznie uniwersalny. Pisał czternaście lat temu Andrzej Zawada: „Gdyby twórczość Sobkowiaka była bez reszty uwikłana w te tak ciężkie na współczesnej świadomości literackiej mity, otrzymalibyśmy wiarę opowiadającą, jak za własnym przyzwoleniem ginie na miejskim bruku

trawa ze śniegu”. Później, w wierszu drukowanym w „Powieści”, poza licznymi zmianami formalnymi, pojawia się nowa jakość ideowa: „Mocne szczęki”, zawsze pisane z dużej litery. Znamionuje to zaistnienie jakiejś nowej formy zagrożenia, przeciwstawionej wcześniejszemu „śladowi krwi na śniegu”.

Te, wydawałoby się, mało istotne przeobrażenia poetyki charakteryzują istotne wyróżniki wierszy Sobkowiaka. Oto nie temat stanowi o wielokierunkowości i wielowarstwowości jego poezji, lecz właśnie, poza osobowością podmiotu mo-

jej poezji znaczenia, ale zaświadcza, że w życiu twórczym Sobkowiaka duże znaczenia nabiera „typografia” literacka. Stąd, obok wierszy znajdujemy nazwiska Bogusława Kierca, Jacka Łukasiewicza czy Andrzeja Zawady. Sympotycznie wszyscy oni są krytykami, poza Kiercem i Łukasiewiczem, którzy zajmują się również pisaniem wierszy.

Interesujące są jednak te fragmenty poetyckie, które mówią o ślepym zalku w jakim znalazł się podmiot mówiący i chyba sam poeta. W wierszu pt. „Obecność” czytamy: „Pamiętam płacz wie-

niku / Widzę tylko prozę życia idącą ku mnie”. Dalej znajdujemy passus: „Wiersz do ust pokarm lichy niesie”.

Mamy więc do czynienia z klasycznym wypaleniem. Tytułowa „Okolica słońca”, to z jednej strony wypalona ziemia, spłyciona osobowość, z drugiej zaś, to pragnienie towarzyszące pisaniu wiersza „aby w linijce choć jednej zaświeciło słońce”.

Sobkowiak nie potrafił rozwinąć, przewartościowo stanu „podciętych skrzydeł”, ucieka w moralizatorstwo i opisywactwo. Występuje z pozycji poety już doświadczonego, z jednej strony przez życie, z drugiej oszukanego przez poezję. Dlatego już w 1976 roku w LTK-owskim tomiku „Potrzeba zjednoczenia” pisze: „Białą miłość niesie w wątkach ustach / I kruchą kość płomienia spoza więzienia oczu” — mówiąc w wierszu „Obrona poety” o sytuacji kreacyjnej podmiotu mówiącego, ale na pewno nie wyłącznie.

Dziś mija blisko dziesięć lat od ostatniego, „książkowego” wystąpienia poety Sobkowiaka. Nie wiem, na ile to milczenie jest symptomatyczne, na ile jest to przemysłowa manifestacja. Być może wynika to z niepokonywalnych trudności poligraficzno-wydawniczych. Myślę jednak, że autor tak dojrzałego debiutu („Powieść w odcinkach”) potrzebuje najzwyczajszego „wytrącenia pióra”. Sobkowiak jest bowiem prawdopodobnie poetą o specyficznym rodzaju osobowości, która wyzwała się poprzez silny kompleks. Żyjąc i tworząc w warunkach zionogórskich na taki kompleks nie może liczyć. Tutejsze zmieszczanie czytelnika — żeby tak rzec — upupilo by nawet wieszczka.

Sobkowiak ma jednak tak olbrzymi „kredyt talentu”, że być może odczaruje nie tylko dziesięciolecie, własne milczenie, ale obdłokuje zapoznane już, twórcze „podcięcie skrzydeł”...



Rys. LESZEK HERMANOWICZ

„dyszą pszczoły ciężkimi skrzydłami w ścierniskach / z każdego kwiatka wybierając cząstkę lata z trawy i kłoso / upadają w twarze słoneczników wiszących nad kartkami” („W żniwa”), ale zaraz po takim osobliwym ciepłym poetyckim pojawia się druga sfera rozdrożonej już na dobre osobowości: „Zostawiam stoły z dymiącymi miskami na krew na wodę na odeszcie” („Tak idąc i przechodząc”). I znów, niemal przekor nie, powraca motyw konsolacyjny: „koń stoi w koniczynie a pomiędzy moimi / palcami ziemia gorąca jak czysze pierś” („W polu”). Ten dialektyczny, wewnętrzny dyskurs zamyka jednoznaczna pointa tytułowego wiersza: „a jeśli odchodzę to ból pozostaje po mnie zza gwoździ” („W białej koszuli”).

Istotną wskazówkę formalną stanowi zastosowana przez Sobkowiaka gramatyka „zdań poetyckich”. Większość sformułowań „odjazdowych” ma charakter supozycji, natomiast wszystkie fragmenty „konsolacyjne” są nieskomplikowanymi stwierdzeniami, jakby czyste weryfikacyjne odbitki rzeczywistości. Stąd możemy przypuszczać, że owa „biała koszula”, towarzysząca poecie w jego dotychczasowym, podówczas dwudziestoletnim życiu, w czasie przeróżnych egzaminów — to świadectwo jeszcze trwania w zastanej, przyrodzonej, a więc wiejskiej świadomości. Pojawiając się rozdarciem, a może już wstydlivą tęsknotą do „tętnienia ulic” symbolizują: krew na śniegu, zamordowana sarna i tym podobne przypałości inicjacyjne. Sam poeta ma jednak niezakłamaną wyrzuty sumienia, stąd potrzeba ekspiacji. Tę funkcję pełni wiersz zatytułowany symptomatycznie „My”, będący jawną ucieczką w uniwersum. Zamyka on zresztą cały zbiorek. Tam to używa Sobkowiak po raz pierwszy i jedyny zaimka osobowego w liczbie mnogiej: „Co pozostanie po naszych wrogach po naszych oczach / po wznoszeniu po róży z miłości po słońcu nad piolunami” („My”).

I żeby wszystko było w porządku, czyli w zgodzie z heglowską triadą, cały zbiorek układa się zgola naturalnie w tezę, antytezę i syntezę. A więc: „dyszą pszczoły ciężkimi skrzydłami w ścierniskach” — to teza, „czy jeśli odchodzę to ból pozostaje po mnie” — to antyteza, i „Kto przebaczy nam / ile naszej obecności przetrwa / choćby to ból miał być największy / czy pozostanie po nas zasypany piaskiem śpiew skowronka” — to synteza.

Poświęcając tyle miejsca przeddebiantekiemu tomikowi Czesława Sobkowiaka, uważam, że właśnie tam znajdziemy już przeczuć ślady prawdziwie dojrzałej osobowości poetyckiej. Odrzucając nieco banalne obrazy z wierszy „W polu”, czy „W żniwa” — w innych, choćby tytułowym, można odczytać symptomy najistotniejszych odkryć poetyckich Sobkowiaka, objawionych w książce „Powieść w odcinkach”.

poeta dręczony dodatkowo tęsknotą za rodzinną wsią. (...) Na szczęście tak nie jest. Między wiersze ocierające się o tę szkodliwą dziś literacką mitologię włożony został blok tekstów świadczących o jednym: że pojawiła się w najmłodszym poezji autentyczna osobowość”.

Co zatem składa się na tę osobowość? Po pierwsze fakt, że tworzyłem wierszy Sobkowiaka jest wszystko, co przykuwa uwagę podmiotu mówiącego. Każdy szczegół podporządkowany jest uogólnieniu. W ten sposób idea przesłania poetyckiego wybiega daleko poza treść „Powieści w odcinkach” i dotyczy ogólnej rozumianej kondycji egzystencjalnej samego autora, ale też i jego pokolenia. Charakterystyczny w tym kontekście jest wiersz pt. „Zapis”. Podmiot obserwujący gromadzi pewną ilość obrazów, po to, aby w ontologicznym pytaniu zawrzeć uniwersalny niepokój o już nie własne życie, ale w ogóle człowieka obciążonego cywilizacyjnym i kulturowym bagażem: „Miasto ucieka przyjaciół odszedł / Lustrze bez liści żyjących czytelników / W radiu cisza fiolet kruche kości skrzypią / Muzyka rozwesalająca trupy / Wzruszenia drzemą jak to powiedzieć / Nie znajduje celu jasne spojrzenie / Ulica kłuje w oczach / Jak czerwono / Czy się urodziłem dopiero jak róża / Czy śmierć się zaustawiała / Martwy dźwięk po pokoju chodzą jak drewno / Dlaczego dzień jak pokutnik milczy / Czy to już koniec” („Zapis”).

Pamiętając, że powyższy fragment w języku został z książki pt. „Powieść w odcinkach”, a więc nie z poematu, tylko jakby z „prozy” — a więc mamy do czynienia nie z jednorazowym doświadczeniem, ale jakby dawkowaniem po trosze problemami — rozumiemy, że autor osiągnął w ten sposób nielatywny efekt polifoniczności. Na ile doświadczenie poetyckie Sobkowiaka zostało funkcjonalnie przystosowane do potrzeb „powieści”, uświadomił nam prosty zabieg, rzec by można... komparatystyczny. Porównajmy jeden tekst, który znalazł się najpierw w tomie „W białej koszuli”, by później, po przeróbce, niejako otworzyć „Powieść w odcinkach”. Mowa o wierszu pt. „Polowanie”. W zbiorze „W białej koszuli” wiersz, jak i zresztą cały tomik, napisany jest według „czechowiczowskiego” stereotypu, to znaczy: małe litery, brak interpunkcji, rzadki podział wiersu z średniówką. W „Powieści w odcinkach” Sobkowiak zastosował znowu generalnie inny stereotyp formalny. Wszystkie wersy zaczyna z dużej litery, często wykorzystuje napięcia między słowami, które uwypukla średniówką. W „Powieści w odcinkach” wiersz „Polowanie”. Pierwotnie pierwsza linijka brzmi: „zwyczaj wilgotny dzień”. W „Powieści w odcinkach” natomiast trzeci: „Zwyczaj wilgotny dzień rośnie trawa ze śniegu”. A więc pojawia się klasyczna, duża litera i średniówka od słów „rośnie

wiącego, poetyka. Sobkowiak zrozumiał, że opis mitu zerwania z korzeniami już nie tylko własnego pochodzenia, ale i pierwotnie doświadczonego poezjowania, doprowadzi go do fałszywej iluzji odkrywania naiwnego królestwa. Sam zresztą mówi: „Uświadomiłem sobie że granice mojego królestwa uległy zniszczeniu” („Wiersz światła”).

Sobkowiak nie bez bólu rezygnuje z opowiadactwa. Zaczyna „budować”. Stąd niektórzy krytycy przy okazji omawiania „Powieści” przywoływali awangardowego Peipera. Myślę jednak, że „budowanie” Sobkowiaka jest celowo chaotycznym odzwierciedleniem silnego kompleksu. Nie jest to jednak przeświadczenie, że aby być artystą, trzeba wyłączyć się z harmonii życia. Sobkowiakowi potrzebny jest do poetyckich wzlotów jakiś ogromny kompleks niższości — w myśl zresztą mitu o odeszciu od rodzimych korzeni. Dlatego w sensie ideowym bardziej odpowiadałby mu prawdopodobnie stan ducha Juliana Przybosa stojącego naprzeciw katedry Notre Dame.

Podobne kompleksy były z pewnością chlebem powszednim Sobkowiaka w rozhisteryzowanym artystycznie w latach siedemdziesiątych Wrocławiu. Próba przeciwstawienia się temu kompleksowi jest metafizyczna tęsknota do „czystości języka”. Sobkowiak zamyka to w określeniu „mówmy błękitniej”. Piszę jednak: „Mówmy błękitniej / Już słyszę jak niejedną mówi / Cóż to za zawołanie śmieszne doprawdy niepotrzebne w tym czasie / Ziejącym pustką i z wyrzucenymi dzwonami” („Mówmy błękitniej”). A był to czas — jeśli wbrew wszelkim regułom, odnieśmy się bezpośrednio do doświadczeń biograficznych poety — żywej legendy Rafała Wojaczka, czas „panowania” w światku młodego literackim Wrocławia „księcia poetów” Tymoteusza Karpowicza, czas silnego oddziaływania poetyki Janusza Styckiego, Lothara Herbsta, Marianny Bocian, Urszuli Kozioł i wielu innych „wielkich” Wrocławianów.

Tak więc nie Peiper, nie Przybysz nawet, ale ci, fizycznie doświadczeni poeci, wywarli wpływ na twórczość Sobkowiaka. Dlatego kończąc swój tom „Powieść w odcinkach” mógł z sztycherką nadzieją spojrzeć w przyszłość: „Co jutro / Przez chwilę oglądam miasto z balkonu jest białe jak nóż / Switu / O którego światła sinieją mi usta i z nimi wyglądam bardzo / Młodo jeszcze / To wszystko” („Ochodzę kobieta płacz”).

Debiut Sobkowiaka był debiutem w bitnym. Tworząc w chorobie silnych kompleksów, osiągnął chyba szczyty swoich możliwości. Pisał Marek Graszewicz: „Jego społeczne doświadczenia są jakby rzucone na tło własnej osobowości. (...) Jeśli choć jeden człowiek odwołuje na samym sobie skutki „podcięcia skrzydeł” to warto w dyskusjach o świecie, społeczeństwie i przyszłości brać jego głos pod uwagę. W ten sposób autor „Powieści” wyznaczył sobie miejsce i rolę w społeczeństwie. Często mówimy, że świadomość takiego miejsca jest „charakterystyczna dla poetów wybitnych”. Pisał Jacek Łukasiewicz: „Czesław Sobkowiak jest poetą młodym (...) Wydał do tej pory arkusz poetycki, drukował trochę wierszy w czasopiśmie, ostatnio swój debiutancki tomik. Myślę, że znajdzie on wielu czytelników”. Pisał wreszcie Andrzej Zawada: „Powiedział, że w debiutanckim tomie młodego poety dostrzegam zarysy niezakłamej indywidualności, zdaje sobie sprawę z bardzo dużej możliwości błędów, wydania sądu, który się nie sprawdzi”.

Dziś możemy powiedzieć, że nie wszystkie wyrokowania spełniły się. Zabrakło chyba istotnego doświadczenia życiowego, w którym osobowość poetycka Czesława Sobkowiaka mogłaby karmić się owym „podcięciem skrzydeł”. Kolejne tomiki autora „Powieści w odcinkach” są mniej interesujące i jakby nie potwierdzają nadziei tak błyskotliwego i dojrzałego debiutu.

III.

W 1977 roku ukazuje się w Ossolineum „Bezsensowność”; tomik rozmyślnie podzielony na trzy części, pozornie sprawia wrażenie spójności i przemyślanego układu tekstów. Ale właśnie ów formalny „koncept” pozbawił książkę zapożnanej już u Sobkowiaka uroku osobowości poetyckiej. Autor „W białej koszuli” penetruje obszary już odkryte „Róża”, „Wigilia”; znajdujemy w „Bezsensowności” wiersze sprawne, ale pisane niejako z zewnątrz, a nie z wewnętrznej potrzeby. Myślę choćby o rozwickłym, przepoetyzowanym tekście pt. „Winnica”. Pojawiają się też liczne dedykacje, które znowu z pozoru nie mają dla sa-

CZESŁAW SOBKOWIAK

Notatki z Hamburga

Staruszka z Tajlandii z umarłym dzieckiem
Drzemącym w kocu na chodniku pod
Ścianą Śmiechu Rozkoszy i Szaleństwa
Wobec neonów i nawoływań handlarzy
I cicho mknących limuzyn
Wysmienienie urządzonego świata
Milczenie
Szepcze swoje głodne
Usta

★ ★ ★

Świeci Hamburg nad wodą jak każde odwieczne złudzenie
Które sennych przywabia wędrówców tym czego nikomu
nie może dać
I spojrzenie niewyobrażalnie się zmienia w upokorzenie
Wysycha najlepszy przywieziony tu kwiat

Łuska rybka na wodzie nie rybka umierającego Czasu
Zapomnienie zbyt szybko się sypie na stole blat
Wielkie słowa zamienione na małe potrzeby wśród stosów
Liczba w rachunkowej księdze gdzie zabrakło miejsca dla dat

Do polskiego ciemnym rankiem kobieta młoda szybko głodzi
Ze spokojem starszy mężczyzna wygrzebuje z szuflady klucz
Poprawiając mankiet obrus i wazon na stole w zasadzie
Obojętnie ręka po szkle sunie wręczając kwit

Wsluchany w niemiecką muzykę aut i ostatnich notowań
Walorów bezpiecznie ułożonych w sejfie za ścianą
Z kluczykiem na piersi długo się zastanawia bez słowa
Czy dać mi odpowiedź od dawna już sobie znaną

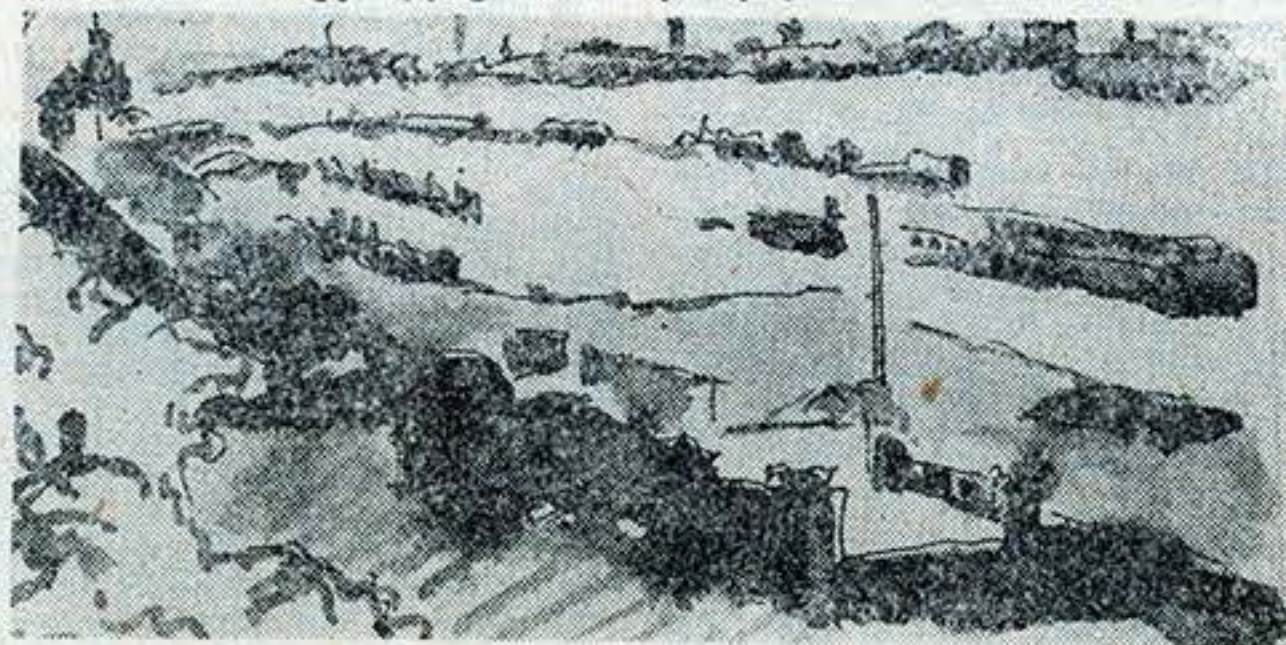
A na tapczanach pościel czysta biała i wyprasowana
By sny się śniły prosto i niewinnie przez noce i dnie
I nie się nie mogło popsuć w mechanizmach i foliach
W pierwszej godzinie świtu skomlającej żółto gdzie...

★ ★ ★

Tylko Hölderlin czytany do obłędu ulaskawia
On jeden poświęca dnia zamysłony i zatrwożony
Najpewniej wiedząc jak ściemnia się światło na wystawie
I jak obojętnie czyjs ból gdy obiad na stole dymi

Tylko Hölderlin dać potrafi pomocne ramie
I nie kradnie głosek chytrze licząc cenę dobroci
Do pełni owocu dorosnąć jest w stanie jak człowiek
Który z czystym sercem owoc ten niesie do świątyni

Dlaczego więc droga wśród przeliczeń i zachwytów
Dla linii wiedzonej w metalu gdy kończy się zgrzytem
Spojrzenie wystarczy sobie w oczy bez drżenia - krzyku
Nieskończenie pytając gdzie toczy się życie obfite.



Rys. LESZEK HERMANOWICZ

Sceny miłosne w literaturze pięknej

Och, co za łoże! Łoże! Królewskie łoże! I Lustra Królewskie, Salony, Symplicja Króla i Kominek Króla. I Korona Króla, Tron Króla, Złoto, Mirra i Kadzidło Króla. Och, gdzie ja jestem, gdzie? Oczy przecieram i szczypię się. W Łożu Królewskim leżę, dobrane, Nagi. Zapachy Królewskie wokół. Dywany, Arrasy Królewskie. Obrzy, Głowy Królów na Obrazach, Kandelabry, Świeczniki, Złoto, Srebro, Lichtarze, Papiernosze Srebrne, Piersienie na Moich Palcach Złote. I ja w Króla Przemieniony. Ja Król! Nagość Króla. Patrzę na swój Brzuch i widzę Nagi Brzuch Króla. Dotykam Piersi i czuję Pierś Króla. Palce Króla przesuwają się po mojej Twarzy i już Twarz moja jest Twarzą Króla. I mój Wzrok bada Komnatę Króla, Pełnię mój Wzrok wolno i Dostojnie, po Rzeczach ślizga się, Zatrzymuje, a Głowa Króla kiwa się i Usta coś Pomrukuje. To ja pomrukuje Słowa Królewskie: Tron, Korona, Władza Króla. Słowa Króla ze mnie Wychodzą i mają Wagę Króla. Poruszę Ręką i wiem, że to Król Ręką Poruszył. Nadmuchać Policzki i wiem, że to Króla Policzki Nadmuchały.

I oto słyszę Pluskanie Królewskie z daleka i blisko. Z blisko, czy z daleka słyszę? i ucho Króla nastawiam. Gdzieś tu Ktoś się Pluszcze. Pluskanie słyszę wyraźnie i wzdychanie miękkie, jedwabiste, ciepłe.

A któż to tak Wzdycha i Pluska się jedwabście, miękko i ciepło? Światła wokół Mojego Łoża. Poduszka Miękka. I Pluskanie dalekie czy bliskie Miękkie. Oj, Międko tam jest Międko, daleko i blisko. Moje Ucho Króla słyszy Podśpiewywanie i Klepanie Delikatne. Miękkie to Klepanie. W dół zaglądam, na Dywany i Skóry Posłane, ale co widzę, co widzę. Dywany wszędzie, Skóry Lwa i Tygrysa, Żbika i Kozła, Sarny i Byka, a Blżej Łoża, co ja widzę, co ja widzę, Lustra Lśniące, w których Sufity i Zyrandole Pełne Szkła i Światła Odbite. Lustra wokół Łoża. I Lustra na ścianach wokół Łoża Króla. I Baldachim, a za Poduszką Lustra Ogromne, Czyste i Portrety, Obrazy królów odbijające. Luster tu Pełno! mówią Królewskie Usta Moje. Lustra mi jam Otoczony, jak Szpiegami. Kto mnie Szpieguje w Komnacie Króla? Kto Króla Szpieguje? Ale co to? Pluskanie głośniejsze słyszę, Westchnienie Delikatne i Słodkie. O, jakże Słodko ktoś Wzdycha. Kto tak Wzdycha blisko i daleko? Wzdychanie znowu się powtarza i szukam ja wśród Luster tego Wzdychania i Pluskania. O, jakże ktoś Pluska i Pluska. I Podśpiewuje sobie wesolutko. Może wśród Luster Pluska się i Podśpiewuje? Kąpiel słyszę najwyraźniej, Mycie, Polewanie. Oj, Kąpie się ktoś, Kąpie. Nago się ktoś Kąpie. Golo. I ja Goly?! spojrzę na Nagość swoją i Goliżnę swoją. Moja Nagość i Goliżna wśród Luster. Widać, jak Lustra Nagość moją Odbijają i Przysyłają Dalej. Dokąd one mnie tak Odrzucają, Gonią, gdzie to tak Nagość moją Skacze. Przyskakuje z Lustra do Lustra?

A może to Inna Nagość tak Moją Nagość Goni. Golo tu Golo. I ja Goly wśród Luster, które także są Gole. Golo mi w Oczach, bardzo Golo. W Lustrze Golo ktoś się Kąpie. Monarcho! Co za Obraz. Widok, Jawa czy Sen! W Lustrze Gola się Kąpie, Pluska i Wodą Polewa. I widzę jak już Nóżkę Gola wysunęła i Golo się bardzo zrobiło między Lustrami. Co Lustra, to Golo. Jedna Gola Nóżka przemknęła przez komnatę. O, jakże Piękna Nóżka! A Stopa jaka! Delikatna, Świeżutka, miękka. I Gola! Kolano Gole wystawiła, jakby mnie tym Kolanem wzywała do Czegoś? Do czego ona mnie tak wzywa. Kolano Gole widzę, które w Lustrze do Mojego Golego Kolana się przytula. Ciepło się robi. I Druga Nóżka się Wychyla z Piany, z Pluskania i Golo przez Lustra Przemyka. Oj, jakże się Gonią Gole Nóżki i Kolana. Moje Nogi Gole Gonią Tamte Nóżki Gole. I Dupa Gola! O, jakże Gola! Kragla, Młoda i Gola! I naraż Szaty Królewskie w stu Lustrach Przemykają. Pluskanie ustaje, Podśpiewywanie, a spośród Firanek, Zasłon Kotar, Pluszów, Miękkosci, Alabastrów, Czerwieni, Bieli, Srebra i Złoty Frydela wychodzi, o Boże! Królowa. Pani omdlewającym szeptem do mnie woła, wciąż wychodzi. Jakże Dostojna i Piękna.

— Ależ Królowo! Niegodny jestem — naciagam na siebie Piernaty. Królowo! Goly ja! W Łożu Twoim ja Goly!

Uśmiecha się do mnie.

— Ależ ty się uśmiechasz do mnie, Królowo!! Twój uśmiech Królowo. Goly jest! Goly!

A ona dalej się Uśmiecha i Powiewa Szatami swoimi, Idąc po Królewsku, Dostojnie, Wolno. Wiatr Królewski ją owiewa. Koronkowa Koszula w Podmuchach Królewskiego Wicheru. Ale Wicher skąd? Och, Wicher! wzdycha Królowa. Ty jesteś Moim Wichrem! szepcze, a ja widzę, że Gola ona, Gola i Piersi jej Gole przez Tiule widać, i ciało Gole ma Królowa Moja.

— Królowa ty! — szepcze. Ale co to? Królowa po Dywanach Idzie, po Skórach Nóżki stawia i Nagle z Uniesioną Stopą Zatrzymuje się przy Łożu i Patrzy na mnie z Uniesionymi Brwiami. Rzesami lekko poruszając.

— Oj, Ciemno się robi, Ciemno! — wołam. Ciemno Królowo, tam w Lustrach Ciemno! O, jakże Ciemno. Lustra Twoją Ciemność w Ciemną przesyłają sobie. Lustra cię Kradną Królowo! Ciemność i Nagość Twoją Kradną. Zerkam pod Łoże i widzę, jak Ciemno i Golo od Królowej bije.

— Dupa Twoja gola! — wołam. Między Lustrami. I od Dół Ciemno. Gole Twoje, Pipa Twoja ciemna od Lustra odbita, Pinda Twoja Ciemna. Cipa — mówię do Królowej, a ona omdlewającym szeptem do mnie woła, wciąż trzymając w uniesieniu Nóżkę i Stopę.

— O, mów jeszcze, mów do mnie jeszcze! Pipa, mów. Pinda Twoja Ciemna Mów. Cipa od Dół Odbita mów, od Luster i Przez Lustra Przenikająca, mów.

— Królowo, krepujesz mnie, we Wstyd mnie wypychasz! Jakże to tak, Króla masz!

A ona Nóżkę jeszcze wyżej Uniosła i Stopę Obraca Wokół. Okręża Stopą Nóżkę Gładką, Długą, Piękną.

— W Lustrach Gola Twoja odbita — mówię. Golo jest, Golo, *Przez Golo!*

Królowa Rączką Gładzi swoją Stopę Zaczytna. A Dupa Jej Gola w całej Komnacie.

— Pipa Twoja Gola z Ciemnością przez Lustra się oddala i Golo się robi Dokoła. Bardzo Golo. Pinda ciemna z ciemnością wyszła.

— Golo, mów do mnie, Golo! — wzdycha Królowa i nadal Gładzi Stopę swoją.

— Cipa ciemna, cicipa w Powietrzu Golo, ze Światła Ciemność wyszła, z Pluskania. Podśpiewywania. Chłapania i Spójrzy Królowo, wskazałem setki Luster, jak zachłannie Zjadają cicipę Ciemną, Pipe, Pindę i Cipy Ciem-

ne Oko, jak Lustra Zjadają. Pochłaniają Cicipę, Ciemne Oko Polykają. Oj, rozmnożyła się ciemność, rozmnożyła.

— Ciemno, mów do mnie jeszcze, ciemno! — z przynkniętymi Oczami mówi Królowa. Dobrze w Ciemno mówisz, dobrze. Z ciemności mów do mnie, przez Ciemność. Ale ja oczy otwieram i żadnej Ciemności już nie widzę, tylko Królową Widzę, jak do Łoża Wchodzi i Gole jej Piersi widzę.

— Piersi ci dam! mówi Królowa. Dawno ci Piersi dać chciałam.

— Siedmiu Starców Piersi Dwie ssalo! — wyrzuciłam z siebie.

— Och, znowu wspominasz tamto. Ekscesy Intelktualistów, Eksperymenty Formalne! Brak Głębszej Idei. Strasznie deformuje się Oświeconą Cześć Mojego Narodu! Strasznie!

— Dzieło. Arcydzieło Geniusza Wielkiego. O! Wielkie. Przez Czarną Dziurę Chrobaka Przemienione, ssali.

— Och, dajże temu spokój. Inteligencja Twórcza zawsze ma jakieś Zboczenia. Lud jest Moralnie zdrowy i Ciebie chce!

— Ależ oni się w Śliniaczki Poprzemieniali. Odrzucił się, w Epokę Dzieciństwa Przeszli! — Mógłbyś dać spokój. Jeszcze jeden przykład do Cna zmanierowanej, zdeprawowanej Kłose.

— Ależ Oni Narodowi Dzieło Interpretowali! Wyklądnie Dali!

— Mnie Twoje Dzieło Interesuje! Twój Majestat jest Wielki!

CHROBACZKI

Stanisław Srokowski



Rys. LESZEK HERMANOWICZ

— Ależ Królowo! Król Stary...!

— Och, on z Lupą szuka swojego Majestatu. Twój Majestat Wielgi jest!

— Królowo! Nie drżajnij mnie! Nie Wielgi, a Wielki!

— Wielgi Twój Majestat! Wielgi!

— Wielki! Królowo! Nie Drżajnij Mnie. Wielgi!

— Odrodzenia Chce! — powiedziała jakoś serio Królowa i Położyła się obok mnie, Foważna.

— Królowo, co Ci? — spytałem, zaskoczony. Brak Ci czegoś?

— Sam widzisz, co się dzieje z Królestwem. Moim, Król Stary. Dwór się rozchłubał. Swawole i Tańce. Inteligencja Przez Wielki wyrodnieje, rakowacieje, psuje się od środka. A ja Nastepecy chcę!

— Królowo, Poważnie się zrobiło, Poważnie! Za poważnie tutaj!

— Odswieżenia Krwi chcę!

— Królowo, jakoś tak dziwnie mówisz! Króla Masz! Jego Dostojność Masz. Powagę Dworu Masz. A mnie tutaj, tą Powagą Dławiś. Co

mam z Powagą Twoją zrobić?! Sztynno się staje, Sztynno, za Poważnie. Za Dostojnie tutaj!

— Wielgi, Wielgi, Wielgi! obliżała się Królowa i czuje, jak maca mnie pod spodem, maca.

— Odrodzić mój Naród muszę. Mój Tron Odrodzić trzeba! — szepcze mi do ucha Swoimi Ustami, a ja Różę Czuję i Kwiaty Polne. Róża gdzieś tu Pachnie! szepczę. Kółowo! Róża pachnie. I Łąka pachnie.

— Z Ludu Odrodzenie Przyjść musi! — lekko gryzie mnie w Ucho i dalej szepcze. Nadeszła pora na Krwi Zmieszanie. Na Zjednoczenie Symboliczne Ludu Mojego i Dworu Mojego.

— Za Poważnie mówisz, Królowo, za Poważnie. Róża gdzieś pachnie, kolo Ust Twoich, między Wargami Róża pachnie.

— Macaj mnie, macaj — nagle mówi Królowa.

— Już tak macać chciała Panienska z Urzędu, mówię. — Nie mogę dwa razy macać tak samo.

— Macaj mnie, Macaj! Jak Panienskę Macaj! Jak Zonę Macaj!

— Kiedy nie wiem jak? — powiedziałem i poczułem że nagle Sztynno mi się robi, gardło mnie Dławi, Gniece, Macać nie mogę!

— Luster się boisz?! Odbijania! To rozkosz pomnaża! westchnęła mi między nogami Królowa.

— Falsz jakiś od Luster idzie, Oczy Świdrują, Podglądają, Szperają między Nami, w Powietrzu Znaki jakieś, Informacje, Komunikaty. Sygnaly. Kto przez Lustra Przemawia tutaj, kto?

— Och, nadwrażliwy jesteś! A więc w Ciemności lepiej się czujesz?

— W Powietrzu Sztynność jakaś jest, Drżajnij mnie. Drżajnij i Członek Mój Kurczy się w tej Sztynności. Lud w Ciemności swej mieszka. A ja Ludem Twoim jestem.

Poczułem, jak Wielkie Zwierzę między Nogami skurczyło się i malutki pysk pieska położył się na moim udzie.

— Ducha w Niego tchnę. Jak Panienska z Dworu! — odezwała się Królowa.

— Panienska z Dworu?

Królowa zaśmiała się.

— Chciałam powiedzieć, z Urzędu. Och, teraz u Was tylko Urzędy i Urzędy.

— Falsz jakiś czuje w Powietrzu! — uparłem się. Zona moja Lizala w ciemności! — powiedziałem.

— I ja ci lizać będę!

— I Panienska w ciemności!

— Ale ja Królowa! Wstydu nie mam. Lud tylko swój wstyd ma! Królowa bezwstydną jest i w Jasności będzie ci Lizać, w Świetle, wśród Kandelabrow, Szkieł, Luster, Kotar, Atlasów, Dywanów i Arrasów Królewskich. W Pełnej Jasności, w Podziwie Kochać cię będzie. A ty nauczysz Swoją Królową Słów Ludu. A jak ci Panienska nazywała członka twojego! Kutasem może? Albo Fallusem! O Falluse! Jakbym mówiła, O Romulusie! Cudowne! Więc jak Panienska z Urzędu nazywała Twoje Przyrodzie nie. Och, Przyrodzenie! obliżała się Królowa.

Kandelabry, Lustra, Szklane Szafy Oskłone jaśniały. A z Luster szły tysiące informacji.

Jedno Lustra do Drugiego wysyłało tajne znaki. I co ja widzę? Królowa mnie za Kutasa bierze i na Wierzech go wyciąga, jakby za Uszy go brała a on Skruczony i Niechętny, cofa się i spłoszony światłem Wielkim między Nogi Królowej jak Chrobak przesuwa się.

— O, jaki on sprytny! — mówi Królowa.

— W Królewskim łożu jest! — odpowiadam i patrzę, jak mój Członek po Lustrach już gania między Nogami Królowej. Cicipa, ciemne oko! wołam. Zagarnąć go chce!

— O, nie tak od razu! zatrzymuje mojego Kutasa Królowa Dłonią Swoją i Paluszkami delikatnie go Dotyka.

— Macać go chcesz? pytam.

— Chce!

— Lizać go chcesz?

— Chce! odpowiada i tuli się do niego, i już widzę, jak w setkach Luster odbija się macanie i Palce Królowej dławiące i zwalniające Kutasa mojego.

Migające, latające jak oszalałe światła odbijają siebie wzajemnie, i oto wśród Kłamek, wśród świec, Świeczników i Cygarniczek Srebrnych, wśród Lichtarzy i Portretów Królów, Między Brwiami Królów Mój Kutasa Sterczy. Moje Ogromne, Podrygujące Zwierzę, które ujeżdża Dłoni Królowej Między Oczy Monarchów Zagłada.

— On między Monarchami jest — pokazuje Królowej.

— Bo i on sam Monarcha jest! Przegrzyza wargi Królowa. Tak ci o nim mówiła Panienska z Urzędu?

— Nie.

— A jak?

Spojrzałem na Zagniewane Twarze Królów, wśród Których Balansował Mój Kutasa. Był jak Wielka Wskazówka, Owłosiona i Gruba. Miesista i Ciemnobrażowa i przesuwał się przed Galerią Obrazów.

— Więc jak? dopytywała się Królowa. Więc jak go nazywała Panienska?

Drżał, podrygiwał i zataczał wielkie Kola. Przesuwał się Dostojnie pomiędzy Wąsami Królów.

— Jego Wysokość — powiedziałem.

— Co? — spytała Królowa Jego Wysokość?

— No tak! Panienska z Urzędu nazywała go: Jego Wysokość!

— Majestat tak nazwać?! — zaśmiała się słodno Królowa. Majestat? Jego Wysokość? A to ci Prawdę? Będzie musiała swoim Dwórkom powiedzieć Jego Wysokość!!! trzymała w Dłoniach Żerubiałego i Należymy Kutasę.

— O, jakże Monarcha Godność! — przetrząsała Twarz swoją do Niego i czułem, jak lekko drze.

— Królowo drze! powiedziałem. Przetrząsać cię! — i zobaczyłem, jak mój Członek się normował. Lustra a mój Członek Wypelniał! Gole Powietrze W powietrzu Krań! — wskazałem Królowej.

— Majestat! — spytała, uśmiechając się. Nigdy nie widziałeś. Tyle Majestatu, Tyle Jego Wysokości! Wspaniale! wciąż zagryzała wargi i Przeginiała Go to w Prawo, to w lewo. Czciogodny Majestat! bawiła się dłonią. Monarcha z Lasu, z Polowania albo i na Polowanie Idący! Jego Wysokość Nabrzmiła! Gładziła Kutasa Dłoni i Palcami Moją Królowa a on sterował jak Wieża w Powietrzu Zdumionym.

Lustra coraz silniej pracowały, a Królowa patrzyła teraz w Tytułowe Ruchy Członków, które Całkowicie wypełniły Przestrzeń. Och, jakże Wielkie to Bowactwo! — woła Królowa. Jakże wielka Mnogość Kształtów i Form. I co ja widzę? Nie jeden i Ten Sam Kutasa, a Tysiące Różnych Kutasów w Lustrach Wklesłych i Wypukłych. Na Ścianach. Sufitach. w Szafach, Drzwiach i Drzewiach, a Wzrostkie w Ogromnym Wirowaniu i Krańcu Nieustającym. O, Co za Parada Gwiazd! pokrzykiwała Królowa, nagle *Wstyd!* mi Ukłęknię, gdy Kutasa na Słotce się Ustawił.

Wargami Go Objęła i na Lustra Zerkala, O, jakże ona w Lustra Zerkala, jakże Patrzyła, Podpatrywała. Kutasa Mojego Monarcha Mój! Jego Wysokość, Majestat Królewski w Tysiącach Postaci Wielkich. O, jakże On Rośnie i Rośnie — szepiała.

(dokończenie w następnym numerze)



W Zielonej Górze i we Włoszech

W Filharmonii Zielonogórskiej im. Tadeusza Bairda 1988 rok obfitował w ciekawe wydarzenia. Gościliśmy wielu ciekawych dyrygentów i solistów, m.in. Romualda Tesarowicza — śpiewaka, basu, ucznia prof. Lidii Gawrylarz z zielonogórskiej Państwowej Szkoły Muzycznej I i II st., wychowawcę Krystiana Zimmermanna — znakomitego pedagoga i pianistę Andrzeja Jasinskigo, węgierskiego gitarzystę Józsefa Eotvosa, śpiewaka, barytona — Jerzego Mechlińskiego, pianistów: Barbarę Hesse-Bukowską i jej syna Macieja Piotrowskiego, Jerzego Sterczyńskiego.

Z wielkim zainteresowaniem spotkały się koncerty oratoryjne dedykowane matkom — „Ad Matrem” z udziałem solistki Michaliny Grolwiec i Choru Akademickiego „Cantores” Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Zielonej Górze, które odbywały się w maju w Gorzowie, Zaganiu, Nowej Soli i Zielonej Górze. Podobne koncerty zostały przygotowane na nowy sezon artystyczny.

Pierwszy z nich odbył się w październiku w Kościele Katedralnym w Gorzowie, drugi następnego dnia w Kościele pod wezwaniem Najświętszego Zbawiciela w Zielonej Górze. Zaproszeni solisti: Gabriela Kściuczyk — sopran, Barbara Kraheł — mezzosopran, Ireneusz Jakubowski — tenor i Krzysztof Kłorek — bas. Chór Mieszany Państwowej Filharmonii im. J. Elsniera w Opolu, przygotowany przez Piotra Karpeta oraz Orkiestra Symfoniczna FZ pod dyktando Czesława Grabowskiego wykonali „Requiem” Giuseppe Verdiego. I te koncerty cieszyły się wielkim powodzeniem, co było niewątpliwie pomysłem wrocław, jako że dzieło przygotowane zostało także z myślą o przyszłych prezentacjach zagranicznych. Cały zespół — liczący 110 osób, wybrał się bowiem na tournée po Włoszech, zaproszony tam przez włoskiego impresaria i dyrygenta — Silvano Frontalini. Przygotowano również IX Symfonię d-moll Ludwika van Beethovena. To drugie dzieło melomani mieli możliwość podziwiać w Opolu i w Zielonej Górze.

Właśnie włoskie tournée należy do najciekawszych przeżyć zielonogórskich filharmoników. W październiku 1988 r. wyruszyli oni w długą podróż. W Roncole — miejscowości, w której przyszedł na świat jeden z największych kompozytorów włoskich, Giuseppe Verdi — wykonali jego dzieło pt. „Requiem”. Nocny koncert, który zgromadził liczną międzynarodową publiczność, odbył się z okazji 175. rocznicy urodzin Verdiego oraz otwarcia małego centrum kultury, któremu nadano jego imię. W pierwszej części wystąpili znani śpiewacy włoscy, w drugiej — zespół polski, któremu zgotowano na zakończenie owacyjne podziękowanie. Warto dodać, że na uroczystości była ekipa telewizji włoskiej.

Następnie „Requiem” zostało powtórzone w wielkiej katedrze w Morbegno na otwarcie sezonu artystycznego w tym mieście. Gorące oklaski powstałej z miejsc publiczności — ok. 4 tys. słuchaczy — zmusiły zespół do bisu. Sytuacja taka po wzięcia się też w Rovato, przy również licznie zebranej publiczności.

Z kolei polscy muzycy przebywali w San Severo. Ten koncert — zdaniem szefa Filharmonii Zielonogórskiej — był najtrudniejszy. Jednak pomimo wielkiego zmęczenia zespół potrafił się zmobilizować, o czym świadczyły również owacje publiczności.

Następnego dnia w małej miejscowości Calvi Risorta wykonano IX Symfonię Beethovena, którą tym razem dyrygował Silvano Frontalini. Tutejsza „sala koncertowa” — kościół San Nicandro — była wypełniona po brzegi słuchaczami, mniej może osłuchanymi, lecz za to reagującymi gorąco i spontanicznie. Koncert stał się wielkim wydarzeniem, tym bardziej, iż mieszkańcy Calvi Risorta po raz pierwszy gościli u siebie Polaków.

Ostatni koncert (ponownie „Requiem”) odbył się w średniowiecznej bazylice w Teramo. Tu również obecna była ekipa telewizji włoskiej.

Nie sposób nie docenić sukcesu, jakim było to tournée. Pomimo bardzo męczących przejazdów, krótkich odpoczynków, wysokiej temperatury otoczenia, zespół wykazał się wielką dyscypliną organizacyjną i precyzją wykonawczą. A przecież wykonywano dzieło Verdiego w jego ojczyźnie. Na koncertach często widzieli się nawet słuchacze z partyturami. Wszędzie jednak zespół nasz przyjmowany był bardzo dobrze.

No, a dla muzyków — była to również przygoda. Wprawdzie na zwiedzanie brakowało już czasu i nawet wizyta w Wenecji nie udało się (okropna mgła uniemożliwiła jakąkolwiek widoczność), lecz jednak włoskie widoki (choćby z okien autobusu), sympatyczne przyjęcie, życzliwość słuchaczy, pozostawiły niezatarte wrażenia.

Po powrocie do Zielonej Góry rozpoczęto przygotowania do atrakcyjnego koncertu kameralnego. Na przełomie stycznia i lutego gościć będziemy znakomity zespół — Concerto Avenna.

ELŻBIETA KUSZ

W czasie kampanii wrześniowej do niewoli niemieckiej dostało się kilkadziesiąt tysięcy żołnierzy polskich. Źródła polskie mówią, że z 800 tys. walczących w obronie Polski, 420 tys. wzięto do niewoli. Niemieckie wydawnictwa podają, że było ich 694 tys. Faktem jest, że zapelniano nimi 48 obozów jenieckich na terytorium III Rzeszy i okupowanych ziem polskich.

Hitlerowskie Niemcy planując agresję na Polskę przygotowały szeroko rozbudowany system obozów jenieckich. Wśród nich obóz w Dobiegniewie, ówczesnym Woldenbergu, który znajdował się na terytorium Pomorza podlegającego pod dowództwo II Okręgu Wojskowego Wehrmachtu z siedzibą w Szczecinie. To niewielkie uroczyste miasteczko położone wśród malowniczych jezior, z historyczną metryką starego słowińskiego grodu Dobiegniewe dopiero pod koniec XIV wieku po zagarnięciu go przez Nową Marchię zmieniło nazwę na Woldenberg. Właśnie ta nazwa przeszła do naszej historii jako miejsce największego obozu jeńców Września.

Problematyka jeniecka doczekała się ostatnio kilku cennych opracowań. Wśród tej literatury szczególną pozycję zajmie, a właściwie już zajęła, praca Jana Olesika „Oflag II C Woldenberg”, która ukazała się nakładem Wydawnictwa MON. Składa się na to wiele powodów. Jest to pierwsza monografia naukowa tego obozu napisana nie przez jeńca. Praca, o której mowa powstała jako efekt rozprawy doktorskiej, której obrona odbyła się przed radą naukową Wydziału Historycznego Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Tradycyjnie powołano dwóch recenzentów, którymi zostali znani historycy wojskowości: profesorowie Eugeniusz Kozłowski z Warszawy i Karol Olejnik z Poznania. Jakież przeżycie nie musiało ogarnąć autora, który dowiedział się przed rozprawą o bezprecedensowym zgłoszeniu się trzeciego recenzenta „ochotnika”, którym okazał się być znany historyk poznański prof. Witold Jakóbczyk. Profesor był byłym jeńcem i wypowiadał opinie, że niemożliwe jest napisanie o oflagu przez nie jeńca. Duże zdziwienie wywołało więc wystąpienie profesora, który złożył doktorantowi gratulacje i oświadczył, iż taką pracę mógł napisać tylko historyk, który nie był jeńcem, przez co stał go było na spojrzenie nie obciążone „widmem zdradzenia”. Przyszedł, że bardzo wiele nauczył się i dowiedział z pracy doktora (co wyraźnie podkreślił) Jana Olesika. Niestety prof. Witold Jakóbczyk nie dożył ukazania się drukiem monografii o problematyce, która była mu tak bardzo bliska.

Książka Jana Olesika jest efektem uczestnictwa jej autora w seminarium doktorskim prowadzonym przez prof. Hieronima Szczegółę w Lubuskim Towarzystwie Naukowym. Zainteresowanie tym tematem datuje się u Jana Olesika od dwudziestu lat, kiedy to

za temat pracy magisterskiej na Uniwersytecie Warszawskim obrał dzieje Oflagu II C.

Wnikliwa i żmudna analiza wszystkich możliwych źródeł pozwoliła Janowi Olesikowi na obiektywną rekonstrukcję obrazu życia w obozie. I należy to podkreślić, że autor dokonał war tościowania bogatego materiału w sposób krytyczny nie dając ponieść się fa



bularnym, często przejawiającym lub wręcz tendencyjnym opisem życia obozowego. Przykładem niech będzie po niższe wydarzenie.

W 1985 roku Centralne Muzeum Jęńców Wojennych w Opolu zorganizowało sympozjum poświęcone konspiracji wojskowej w Oflagu II C. Uczestniczyło w nim kilkunastu członków obozowej konspiracji z legendarnym już Mironem Zarudzkim — dowódcą plutonu „R”, który ochraniał ukryty w obozie odbiornik radiowy. Najpierw byli jeńcy wspominali swój udział w obozowej konspiracji, później został przedstawiony fragment pracy dr Olesika poświęcony konspiracyjnej działalności wojskowej w Oflagu II C. Byłem ogromnie ciekawy opinii osób, których działalność dotyczyła.

Zaden z uczestników sympozjum nie zgłosił najmniejszej uwagi, co należy uznać, iż autor w pełni odtworzył wiar ną historię Oflagu II C. Potwierdził to także Miron Zarudzik, który stwierdził „tak właśnie było”. Również wysoka ocena pracy wystawił, jeden z pierwszych czytelników maszynopisu, nieżyjący już, woldenberczyk Władysław Nasiadek, wieloletni przewodniczący Miejskiej Rady Narodowej w Zielonej Górze.

Na ogólną liczbę 420 tys. polskich jeńców, w niemieckiej niewoli przebywało w latach 1939-1945 około 17-19 tys. oficerów. Liczba ta zwiększyła się nawet do ponad 20 tys. pod koniec 1944 r. w wyniku przybycia do obo-

zów oficerów z powstania warszawskiego. Oflag II C liczył ponad 6 tys. jeńców, co przy liczbie mieszkańców Dobiegniewa która w 1940 r. wynosiła 5300, stanowiło, iż był to faktycznie drugi Woldenberg, tylko że odrutowany. Dzisiaj Dobiegniew szczyty się istnieniem tu w latach wojny uniwersytetu, teatrów, wielu klubów sportowych a nawet cyrku. Wspaniali ludzie tworzyli tu wielkie wartości kultury. W obozie przebywali oficerowie, którzy po wojnie uzyskali statusy i opinie wybitnych twórców i naukowców. Nie sposób wymienić nawet najważniejszych, ale i nie ma takiej po-

Historia odratowanego państwa

trzeby, bowiem wszystkie te zagadnienia znalazły pełny opis w pracy Jana Olesika, do której lektury chciałbym czytelników „Nadodrza” gorąco zachęcić. Jest to bowiem bardzo wartościowa pozycja w kolekcji literatury jenieckiej i niejako modelowa. Już później powstała następna monografia drugiego obozu pod względem ilości jeńców polskich — Oflagu VII A Murnau, której autorką jest Danuta Kisielewicz. W przygotowaniu są kolejne prace o oflagach w Doessel i Neu-Brandenburgu. Ukazanie się tych prac wzbogaci znacznie naszą wiedzę o losach Polaków w latach ostatniej wojny.

Książka Jana Olesika jest pracą naukową, która charakteryzuje rzeczowe i bardzo obiektywne podejście do tematu. Posiada walory publikacji niemal doskonałej, napisanej dobrą polszczyzną, co stanowi o jej trwałej wartości. Jest to rekonstrukcja obrazu wydarzeń i dokonania polskich oficerów przebywających w wielkim, odrutowym końcu, napisana przez historyka znającego ten problem jedynie z własnych studiów i dociekań. Nie brak jednak w pracy tego szczególnego koloru. Ta nuta zawarta jest, być może, w strofie Edwarda Fiszer, obozowego poety: „Gdybyś wiedziała, jak wolna przestrzeń na spacer wola...”

Zamknięty obóz jeniecki jest obiektem dla badacza, bowiem jak napisał były woldenberczyk Jerzy Dyjeński:

„Obóz był miniaturą przedwojennej Polski ze wszystkimi sprzecznościami społecznymi i ostro rysującym się podziałem klasowym. Wyfasowany we Wrześniu ten sam dla wszystkich mundur nie zlikwidował istniejących różnic, a nadamana hitlerowskim najazdem drabina społeczna skrzętnie została skłębiona w oflagu według starego modelu. Niektórzy pułkownicy nadal marzyli o władzy i krążyli wokół obozowych drutów, dzielili między sobą starostwa w powojennej Polsce. I choć tak samo jak inni zadawać się zupą ze śmierdzącego dorsza i mierzyli centymetrem bochenek chleba, dzieląc go dla pięciu, bili się nadal o rząd dusz i uparcie bronili politycznych plaćczyz. Arystokracja obozowa, wyróżniająca się do niedawna włókami i foliarkami, portretami antenatów i nadwątłymi kontami bankowymi, siedząca po uszy w kieszeniach pachciarzy, tworzyła własny klan. Z elegancją skazana na gołączkę przed powieszeniem i pańską wyniosłością wobec oficerskiego mianschaftu, z dziejowej konieczności musiała czekać w tym smrodliwym towarzystwie, jak na dworcu kolejowym, na najbliższy pociąg do Ojczyzny. Najliczniejszy i różnokolorowy politycznie był proletariariat obozowy, nie godzący się z przeszłością i nie zdający sobie dobrze sprawy, jaka będzie najbliższa przyszłość...”

Jest to oczywiście pewne bardzo autorskie uproszczenie opisu stosunków obozowych, na które mógł sobie pozwolić były jeńca. Ten przydługi cytat przytoczyłem celowo, mimo jego kłopotliwego charakteru, by ukazać jak diametralnie różne były jenieckie społeczności i prawidłowe ukazanie ich w kontekście życia obozu było niezwykle trudnym zadaniem, z którego Jan Olesik uczynił najciekawszy fragment pracy zawarty w rozdziale „Oblicze ideologiczno-polityczne obozu”.

Przygotowując rozprawę doktorską do druku stanął autor przed dylematem. Musiał bowiem liczyć około 800 stron tekst skrócił i przystosował do wymogów wydawniczych monografii, która w ostatecznym kształcie liczy 366 kart. Mimo tak znacznej objętości praca jest niezwykle zwarta, o bardzo przemyślanej konstrukcji. Stanowi to jej kolejny pozytywny walor. Książka zniknęła już z półek księgarskich i wróć jej kolejne wydania, żyć mają autorowi większego nakładu a wydawcy lepszego papieru.

ANDRZEJ TOCZEWSKI

Jan Olesik: Oflag II C Woldenberg. Wyd. MON. Warszawa 1988. Nakład 6 tys. egz. Cena 21 980.



„ZABAWA” Z BALASTEM „INDYKA”

Dla mojego pokolenia w czasach studiów przed ponad dwudziestu laty, „Indyk” młodego dramaturga Sławomira Mrożka narzucał sposób patrzenia, mówienia i myślenia. Odkrywał nowe światy, kazał przewartościować przeszłość i teraźniejszość. Ilekroć wtedy było znakomitych jego przedstawień. Jeździłimś do Warszawy, do Krakowa, do Wrocławia, by jak najszybciej zobaczyć kolejną inscenizację. Ech, wspominki, wspominki...

Potem zmienił się Mrożek, napisał tak ważne, narodowe niemal dramaty jak „Emigranci”, „Pieszo” czy „Portret”, znacznie silniejsze w wymowie politycznej. Zmieniła się rzeczywistość, zmieniliśmy się my, odbiorcy. Na początku lat 60-tych, gdy powstawał „Indyk”, jeszcze polityczne oceny naszego świata nie były tak ostre. Ale już wówczas nie wystarczyło wtrącanie problemów poprzez „zastraszającą się walkę grzechu z cnotą”. Niedopowiedzenia zrucałimś na cenzurę, bo tego nie wolno dotykać, a tamto zdejmą. Wierzyliśmy, że gdy minie parę lat, „Indyk” nabierze soczystości.

Właśnie minęło paręnaście lat. „Indyk” jest rzadko wystawiany na scenach. Znacznie większą popularnością cieszy się „Tango” wyrosłe z tego samego pnia stylistycznego, ale mające bardziej uniwersalną wymowę. Gorzowski teatr podjął próbę ożywienia „Indyka”. Na dobre mu to nie wyszło. Ten „Indyk” okazał się zwyczajnie nieświeży.

„Indyk” sprzed dwudziestu lat konsta tował stagnację, a jej przyczyną upatrywał w tradycji romantycznej. Po dwudziestu latach wiemy, że to nie romantyzm był winien. „Para Państwowych Kochanków” jako remedium na społeczne kłopoty, nawet traktowana z przyzwyczajeniem, także nas nie bawi.

Każdy „Indyk” sprzed lat skrzył się dowiecipem, urzekal tempem. Gorzowski — jest piekielnie długi i straszliwie na serio. Zmienił się świat od czasu triumfalnego wkroczenia „Indyka” na sceny, a reżyser gorzowski przedstawienia

— Antoni Baniukiewicz — zdaje się tego nie widzieć i odczytuje sztukę zgodnie z jej naskórnym, wręcz powierzchownym znaczeniem. To, co było waż ne przed ćwierćwieczem, zwietrzało, a nowej interpretacji nie udało się reżyserowi odnaleźć. 20-30 lat to najgorszy wiek dla sztuki. Już nie jest aktualna, a jeszcze nie stała się klasyką.

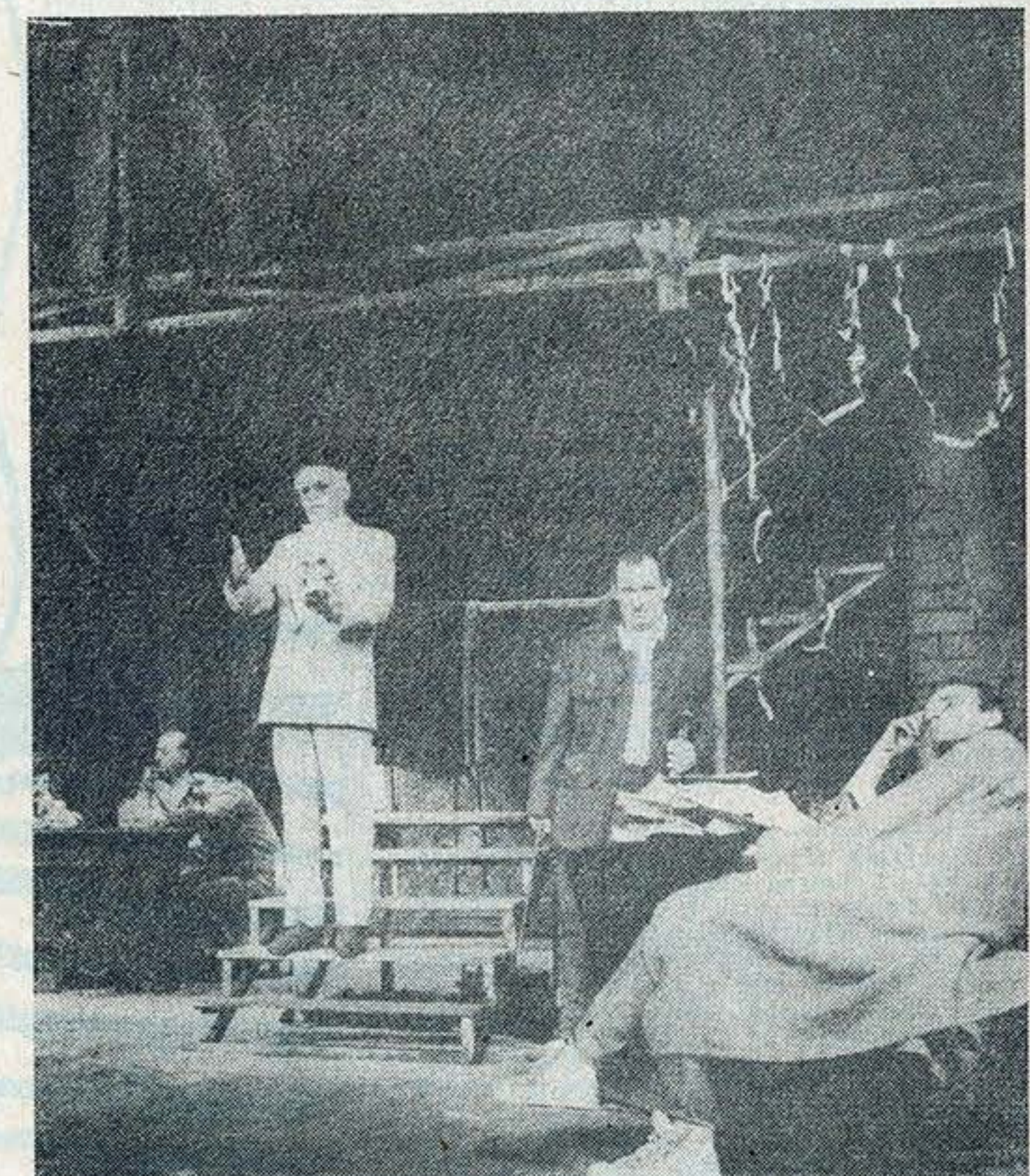
Niemniej jednak myślę, że można by obronić „Indyka”, gdyby nadać mu do bre tempo, przekonać aktorów do kon wencji i wymóc na nich dobre mówienie. Spośród sporego grona wykonawców pozostaje w pamięci tylko Beata Chorażykiewicz jako Laura, potrafiła ona znaleźć dystans, być jednocześnie Julią z balkonowej sceny i przewrotną intrygantką. Jej Laura to kobieta wszechczasów. I współczesności także. Przykre, że w gronie mężczyzn Beata Chorażykiewicz nie znajduje dla siebie partnera. Panowie są nazbyt dosłowni.

A że potrafią być inni, świadczy mrożkowska kropka nad „i”, czyli dołączona do „Indyka” sceniczna miniatura pt. „Zabawa”.

W sumie przedziwne jest to gorzowskie przedstawienie. Najpierw dwuaktowy „Indyk” z przerwą, zgodnie z zaleceniami autora, a po zakończeniu sztuki, dość niespodziewanie otwierają się wielkie wrota i wkraczają aktorzy, którzy poprzednio widzieliśmy, ale w całkiem innych rolach. Niesprawni widz może czuć się zagubiony. Wbiega Krzysztof Malinowski, który przed chwilą był Poetą, Marek Czyżewski — były Asystent Księcia i Tadeusz Dobrosielski — Chłop III, a wszyscy tym razem w czarnych garniturach. O co chodzi?

Przed chwilą ze sceny wiało nudą. Teraz dialog płynie potocznie, lśnią sko jarzeniami, rytmem wewnętrzny, szybszy się wszystkie literackie cytaty, głównie pogłosy „Wesela”. Krzysztof Malinowski grający w „Indyku” ważną rolę Poety, tam był bezbarwny, w „Zabawie” jest wyrazisty, swoją szczupłą sylwetką wypełnia całą scenę. Bo nareszcie na niej jest! Jest kimś! Ma osobowość, charakter, przeszłość. Podobnie jego sceniczny koleś, choć porównania są tu trudniejsze, bo w „Indyku” mieli mniej znaczące role.

Trzej Parobkowie przychodzą do pustej sali, w której spodziewają się zabawy. Zabawy nie ma, ale oni koniec



Scena z „Indyka”: Księż — Marek Łyczkowski, Kapitan — Henryk Wójcikowski i Poeta — Krzysztof Malinowski.

nie chcą, by coś się działo. Jeśli nie za bawa, to może być pogrzeb. Oskarżają alegorycznych „ich”, że umyślnie opuścili lokal, że przeniesli zabawę gdzie indziej, do innych ludzi. Parobkowie rwą się do działania. Ich pusty zapał jest antytezą bierności Chłopów z „Indyka”. Ale w pustej sali też nie się dzieje. Nic nie wynika z rozbuchania, z temperamentu. Ciekawe, że ten tekst jest bliższy nam, bardziej współczesny. Trochę o nas. A może takie odczucie bierze się raczej z odmiennej roboty reżyserkiej? „Zabawę” przygotował Janusz Kozłowski. Ta miniatura, komentarz do głównej sztuki, stała się ważniejszą od podstawowego tekstu. Mamy więc na scenie nie „Indyka” z dodatkami „Zabawy”, ale „Zabawę” z balastem „Indyka”.

Sławomir Mrożek — Indyk. Reż. Antoni Baniukiewicz, scen. — Ryszard Strzembala, muzyka — Janusz Stalmierski. Obsada: — Laura — Beata Chorażykiewicz, Rudolf — Dariusz Skibiński, Poeta — Krzysztof Malinowski, Kapitan — Henryk Wójcikowski, Księż — Marek Łyczkowski, Starzec z Gór — Stanisław Galecki, Chłop I — Bogumił Tołłski, Chłop II — Wacław Welski, Chłop III — Tadeusz Dobrosielski, Asysta Księcia — Marek Czyżewski i Dariusz Chodała.

Sławomir Mrożek — Zabawa. Reż. Janusz Kozłowski. Obsada: Parobek B. — Tadeusz Dobrosielski, Parobek N — Marek Czyżewski, Parobek S. — Krzysztof Malinowski.

Premiera — listopad 1988.

KRYSTYNA KAMIŃSKA

Fot. JERZY SZALBIERZ

Ten wstrętny szef

Firma zajmuje kilka pięter. Jednym z nich kieruje zarozumiały i apodyktyczny Franklin Hart (Dabney Coleman), lubiący się wyrażać fachową i doświadczoną pracownicą Violet (Lilly Tomlin) oraz przedstawiać jej pomysły jako własne. Violet poznaje bliżej Judy (Jane Fonda) również gnębną przez szefa. Dołącza trzecia: nadzwyczaj seksowna sekretarka Doralee (u nas mało znana, a sławna na Zachodzie piosenkarka i aktorka Dolly Parton). Trzy kobiety zawiązują spisek przeciwko zarozumiałcowi i organizują odwet za wszystkie doznane większe i mniejsze krzywdy.

Film jest komedią graną wprost szam pańsko. Można się dobrze pośmiać, a i pomyśleć też jest o czym, zwłaszcza, gdy do głosu dochodzi postać kreowana przez Jane Fondę aktorkę o poglądach feministycznych. Dziewczyny, rozjeżdżając się, wokół nas też nie brakuje panów zapatrzonych w siebie i wierzących w wielkość własnej płci! Akcja rozgrywa się współcześnie. Tytuł filmu „Od dziewiętej do piętej” określa czas pracy w firmie. Reżyser Colin Higgins.

Eroryzm i groza

Agnes (Harriet Anderson), właścicielka odziedziczonego po matce pięknego pałacu, jest ciężko chora na raka. Przyjeżdżają właśnie jej siostry: Maria (Liv Ullmann) i Karin (Ingrid Thulin). Tymczasem chorą opiekuje się czule i z poświęceniem, jak matka małym dzieckiem, służąca Anna (Kari Sylwan), ucieleśnienie kobiecości o rubensowskich kształtach. W jednej z tych kobiet życie gaśnie, druga emanuje zdrowiem. Łączy się obie w erotycznym uścisku. Film ukazuje kolejno studia psychologiczne każdej z siostr. W atmosferze dusznej i niepokojącej, pełnej erotyzmu i grozy, rozgrywa się wataki tej opowieści: romans Marii z lekarzem i w efekcie samobójstwo jej męża, patologiczna nienawiść Karin do męża, starożytność i chłodnego, wreszcie po wolna agonizacja Agnes.

Sceny, w których Agnes zmierzwiasta i domaga się od siostr czułości, budzą prawdziwy dreszcz. Między nie szkańcami tego pałacu wiele jest nie-domówień. Nocą brzmia krzyki umierającej i szepty tych, którym dalej przyjdzie żyć. Wszystko jest niesamowite. Starsi widzowie pamiętają ten film z dużych ekranów. Młodszy raczej obejrzy to dzieło reżysera Ingmara Bergmana (tytuł „Szepty i krzyki”), zwłaszcza, że twórca, będący w mocno podeszłym wieku, być może nie nowego już nie nakręci.

Miłość milionera

Arthur (Dudley Moore) żyje sobie bez troski, spędzając czas na zabawach, wydawaniu pieniędzy i podrywaniu dziewczyn. Może tak żyć, ponieważ jest milionerem. Spotyka przypadkiem Lindę (Liza Minelli), dziewczynę biedną i obciążoną kłopotami, głównie z powodu ojca-alkoholika, wymagającego stałej opieki. Ciekawie rozwija się znajomość, a następnie romans księcia i kopciuszki, aż do ostatecznego skutku. Oto lekkomyślna szalawila zrywa zaręczyny z bogatą panną, której nie kocha, a wiąże się z wesołą i atrakcyjną, biedną Lindą, którą kocha.

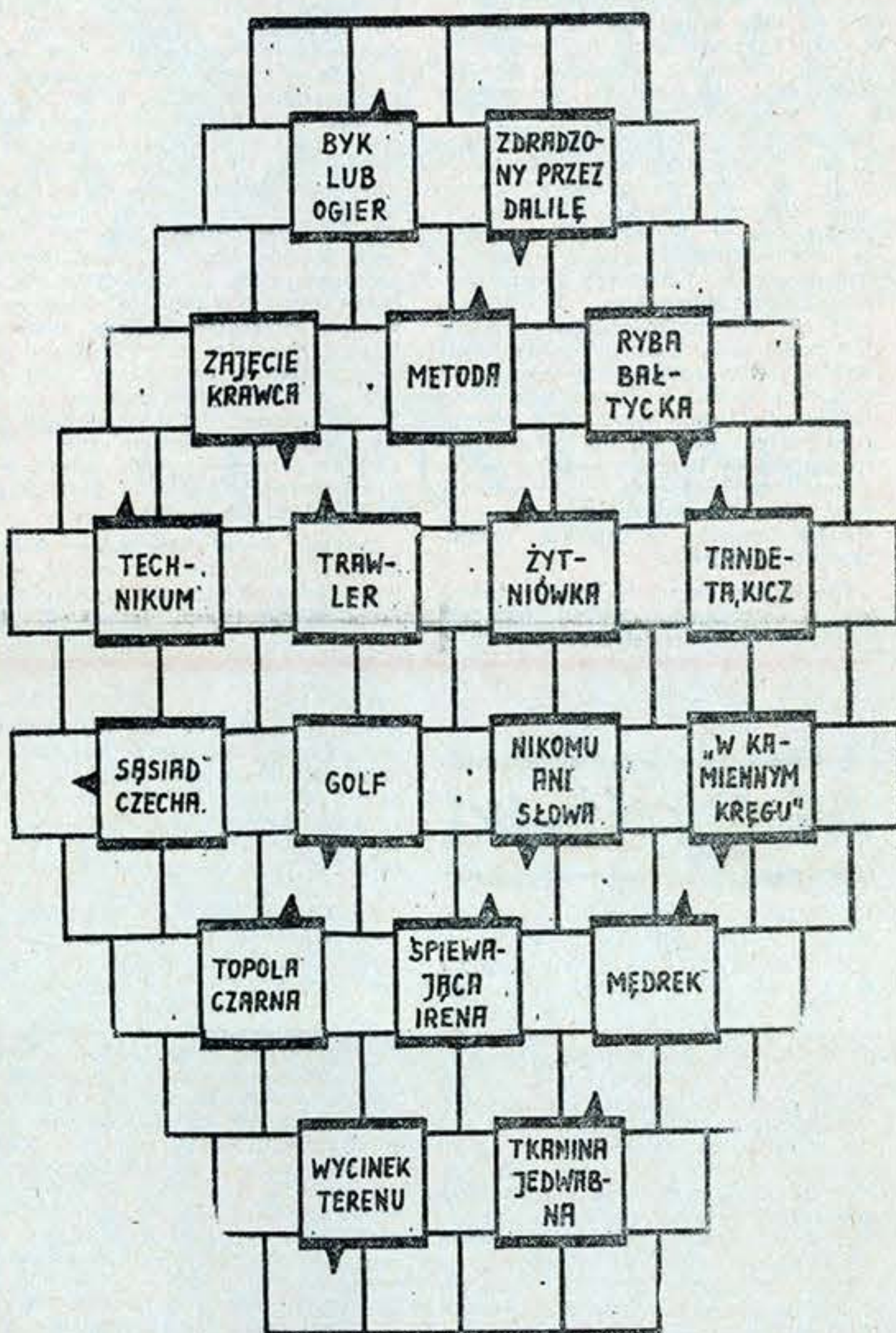
Błyskotliwe dialogi, pełne humoru sytuacje i świetna gra tych dwojga. Kim jest Liza Minelli dobrze wiemy (pamiętamy „Kabaret” i „Nowy Jork, Nowy Jork”). Natomiast nie znamy jej partnera. Trzeba więc powiedzieć, że Dudley Moore — kompozytor, pianista i komik w jednej osobie, jest w USA ogromnie popularny. W filmie tym, za tytułowanym od imienia bohatera „Arthur”, gra także znakomity sir John Gielgud, który za drugoplanową rolę kamerdynera młodego milionera, otrzymał przed pięciu laty Oscara. Film godny polecenia. Nie żał pieniędzy wydanych na tę kasę. Jeszcze tylko dwa nazwiska: reżysera Steve'a Gordona i kompozytora muzyki Berta Bacharach.

EWA FOSS



Rys. SŁAWOMIR URBANSKI

Rozrywki umysłowe



WIROWKA TAUTOGRAMOWA

Oprac. WIESŁAW PYŻEWICZ
Zielonogórski Klub Szaradzystów „Labrys”

Kierunek wpisywania wyrazów — prawoskrętny; wszystkie wyrazy rozpoczynają się literą S.



czynna ta sama litera. Rozwiązanie — wystarczy podać ile razy w diagramie występuje litera S — prosimy nadsłać na adres naszej redakcji, do 21 stycznia br. Na kopercie prosimy nakleić zamieszczony obok kupon. Do wylosowania będą dwie nagrody książkowe.

Rozwiązanie krzyżówki z nr 25

Fraszka T. Fangrata: „Kalamnia — Stwora ozora”. Nagrody książkowe wylosowali: MAREK DENIUSZ zam. ul. Pocztowa 12/8a w Szczecinie oraz ALEKSANDER WITKOWSKI zam. os. XXX-lecia PRL 5 D/49 w Nowej Soli. Gratulujemy.

Nadodrze

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY — PISMO LUBUSKIEGO TOWARZYSTWA KULTURY

Adres redakcji: Zielona Góra, pl. Bohaterów Stalingradu 13, I piętro oraz dla korespondencji: 65-958 Zielona Góra 8, skrytka pocztowa 48. Telefon: redaktor naczelny 108-35, sekretariat 39-13 oraz centrala 46-61 do 67 (łączy telefon wewnętrzny). Telex 913253. Redaguje kolegium: Halina Anskarska, Janusz Konusz (red. naczelny), Zenon Łukaszewicz (z-ca red. naczelny), Wiesław Nodrzyński, Ryszard Rowiński oraz Leszek Hermanowicz (red. graf.-tech.).

Zam. 1308

62-31

LISTY

Nie tylko o scenach miłosnych

Szanowna Redakcjo!

W związku z artykułem Ryszarda Roźnińskiego „Polowanie na grubego zwierz” („Nadodrze” nr 24) pozwalam sobie zauważyć, że przytoczona na zakończenie anegdota o dwóch kupcach z Lwowa, chrześcijaninie i mahometanie, jest dość dowolną przeróbką jednej z nowel „Dekameronu” Boccaccia, a konkretnie opowieści drugiej „Podróż Abrahama z Paryża do Rzymu”, z cyklu „Dzień pierwszy”. Boccaccio napisał swe arcydzieło dokładnie na przełomie pierwszej i drugiej połowy XIV w., ukończone ono zostało w 1353 r. W Lwów był wtedy zaledwie czwarty rok we władaniu Polski — od 1349 r. Tak więc pier-

wszeństwo Boccaccia nie ulega chyba wątpliwości a Lwów zastąpić trzeba Paryżem. Choć oczywiście dzieło tak popularne mogło mieć i na pewno miało wiele regionalnych przeróbek.

Tyle wstępu, bo nurtują mnie inne problemy „literackie”, związane z tym, co ostatnio drukujecie — chodzi mi o ostatnie odcinki „Scen miłosnych” według dariusza bitnera — tak chciałby chyba autor widzieć pisane swe imię i nazwisko. Jako profan w dziedzinie literatury prosiłbym, aby ktoś kompetentny, a tacy na pewno w Waszej redakcji są, wskazał mi w możliwie prosty sposób, co w prozie p. bitnera jest „miłosne” i co jest „piękne” w tej literaturze? Śmiały erotyzm, nie omijający nawet istotnych drastyczności, cechować może nawet prawdziwą literaturę piękną. Gdzieś jednak jest różnica między ordynarną naturalistyczną pornografią a śmiałą twórczością erotyczną. Jeżeli miałbym być epatowany tzw. „momentami”, to bardziej np. przemawiają do mojej wyobraźni np. sceny z życia „tiryków”, spisane przez p. Foss w tym samym numerze. Jest w tym dużo prawdy a nie przejawów specjalnie chybą styliz-

zowanych wspomnień autobiograficznych p. dariusza b. Bo jeśli nie jest to jakaś oryginalna forma osobistej biografii, to jest to dość duża doza chorej i zboczzonej wyobraźni, a wartości literackiej — to właśnie pytanie dla Was. Wolno było futurystom, wolno było Andrzejkowi dowolnie obchodzić się z ortografią, wolno i p. bitnerowi. Szkoda mi tylko, że muszę „gnębić” dzieci za pisownię dużą czy małą literą.

Kończąc, pozwolę sobie doradzić: sięgnijcie chociażby do „Dekameronu”, do „Orlando Szalonego” itd., sięgnijcie do niektórych fraszek Kochanowskiego, utworów Fredry. Wielkie jest morze fascynującej, podniecającej i bardzo erotycznej literatury, która — wcale przy tym nie utraciła prawa do określenia jej jako „piękna”. Tak, jak nie każdy akt to pornografia. A może się mylę co do dzieła p. bitnera, znam przecież tylko fragmenty a w „Twórczości” siedzą przecież wybitni znawcy przedmiotu.

Z poważaniem stały i nigdy nie uważający się za pruderyjnego czytelnik —

Michał Przydrożny

Nietkowiec, woj. zielonogórski

Udana wystawa

z Poznania przyznał w klasie dorosłych dyplom w randze medalu dużego złotego Andrzejowi Stankowskiemu z Gorzowa Wlkp. za „Sport na polskich znakach pocztowych”. Wystawcy Henryk Florek z Zielonej Góry i Joachim Pierzyński z Nowej Soli otrzymali dyplomy w randze medalu dużego pozłacanego. 5 wystawców uzyskało medale duże srebrne, 3 srebrne, 9 posrebrzane i tylko 3 brązowe. W klasie młodzieżowej Danuta Chojnowska z okręgu Wałbrzych i Katarzyna Grabarczyk ze Szczecina otrzymały medale posrebrzane i tylko jednemu wystawcy przyznano dyplom w randze medalu brązowego. Ten rozdział dyplomów (brak zaświadczeń uczestnictwa, znikoma ilość dyplomów w randze medalu brązowego) najlepiej zaświadcza o poziomie wystawy, która również w ocenie licznie zwiędzających osób uzyskała żywe przyjęcie.

Organizatorzy zadbał o towarzyszące wystawie wydawnictwa. Katalog wystawy obok okolicznościowego materiału dotyczącego 70-lecia niepodległości Polski zawierał także wspomnienie poświęcone Henryku Gawińskiemu, jednym z najstarszych działaczy ruchu filatelistycznego na Środkowym Nadodrzu. Wydano też palmares, wydrukowano ozdobne koperty, a upr. Zielona Góra 1 wprowadził 11 listopada 1988 r. okolicznościowy datownik z popiersiem Gabriela Narutowicza, pierwszego prezydenta Rzeczypospolitej. Wykonano też medal pamiątkowy zawierający na awersie znaczek pocztowy z 1918 r. i napis „Wystawa filatelistyczna — Zielona Góra” a na rewersie żołnierza I Brygady Kadrowej i lata 1918—1988 oraz napis „PZF Koło nr 1”.

Wystawa ta zorganizowana pod patronatem Rady Wojewódzkiej Patriotycznego Ruchu Odrodzenia Narodowego stała się znaczącym akcentem rocznicowych obchodów 70-lecia niepodległości Polski w województwie zielonogórskim.

M. SŁAWOMIR



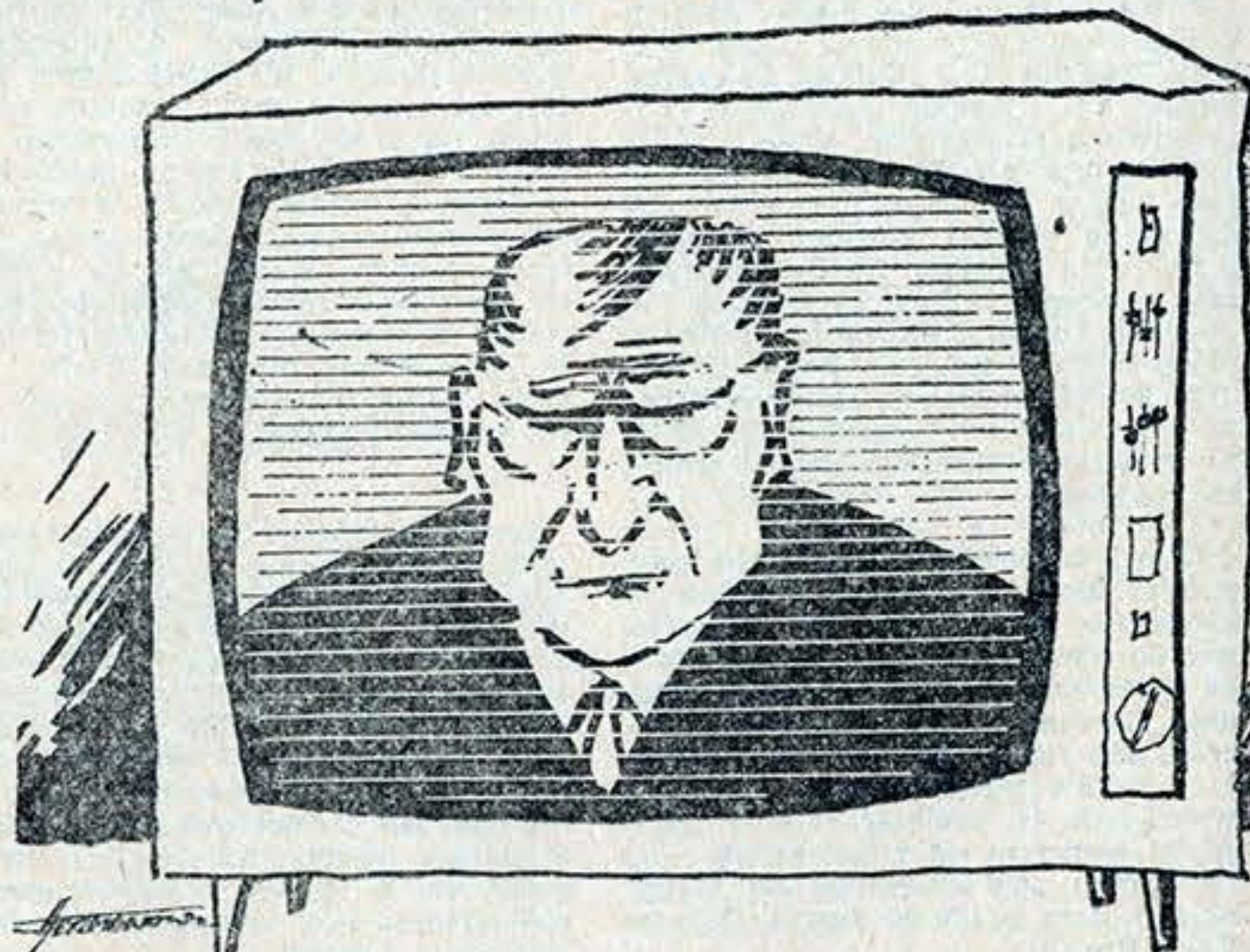
camera filatelistica

Po raz osiemnasty Zielona Góra stała się salone wystawienniczym województwa zielonogórskiego. Pierwsza wystawa odbyła się, warto o tym pamiętać, w 1955 r. z okazji 10-lecia powrotu Ziemi Zachodnich i Północnych do macierzy. Ubiegłoroczna dokumentowała 70 rocznicę odzyskania niepodległości przez Polskę i podobnie jak tamta zakończyła się sukcesem organizatorów, którym przewodniczył początkowo Henryk Gawiński a po jego zgonie Tadeusz Radziszewski.

Na wystawie zgromadzone 14 ekspozycji w klasach pozakonkursowych. Słowaccy wystawcy z Trencina pokazali: V. Chovaa — „Słowackie powstanie narodowe”, T. Buriana — „Pocztowa historia Trenina”, J. Koreny — „Pierwsze wydanie znaków ZSRR” i „Pocztowa historia NRD”, J. Vacek — „Koreańska Republika Ludowo-Demokratyczna”, zaś wystawcy z Cottbus (NRD) zaprezentowali: E. Fischera — „Rozwój elektryfikacji” H.G. Lehmann — „Igrzyska olimpijskie 1896—1928”, G. Stellmachera — „Pocztowa historia 1825—1945”, a P. Wrucka — „Drogi żelazne”. W klasie jurorów znalazły się także opracowania, jak B. Jasińskiego — „Historia poczty m. Poznania”, W. Lipskiego — „Ziemia wałbrzyska” czy M. Goździejewicza — „Kultura muzyki i sztuka PRL” oraz Z. Wiatrowskiego — „Proz wizoria pierwszych lat po wyzwoleniu”. Ekspozycje te wzbudzały uznanie wielu zwiedzających i to nie tylko filatelistów. W klasach konkursowych dorosłych (23) i młodzieżowych (11) uczestniczyli goście z wystaw z Gorzowa Wlkp., Poznania, Szczecina i Wałbrzcha. Oczywiście dominowali zbieracze okręgu zielonogórskiego, którzy zaprezentowali wiele nowych ekspozycji świadczących dobitnie o wzroście kultury wystawienniczej.

Ośmioosobowy sąd konkursowy, któremu przewodniczył Bronisław Jasiński

TERAZ PRZYTOCZĘ TO
CO ZACYTOWAŁA TELEWIZJA
Z MOJEJ WYPowiedzi



Rys. LESZEK HERMANOWICZ

okolic
zaczai

DZIURA
W CAŁYM

1 Nie wiem już, czy można nazwać to szczególnym szczęściem, że swój plebejski żywot rozpoczynałem w okresie, kiedy to „masowa, ideowo-wychowawcza organizacja młodzieży” (cytat z oficjalnego opracowania), jaką był wówczas Związek Młodzieży Polskiej, zmierzał szybkimi krokami w przeszłość, a nadwornicy historii poczęli przyswajać sobie określenie „okres błędów i wypaczeń”. Niemniej taka refleksja nasuwa mi się, gdy nie tak dawno zetknąłem się z treścią pisma Związku Socjalistycznej Młodzieży Polskiej, zapraszającego na „uroczyste spotkanie poświęcone 40-tej rocznicy ZMP”. Dodam, iż owe spotkanie miało się odbyć w Nowej Soli w Klubie „Baltazar” o godzinie 13-tej. Przypomniało mi się ponadto, że ZMP rozwiązano w 1937 roku, i czyżby od tego czasu ZMP zszedł do podziemia, a w obecnej dobie kształtowania się polskiego pluralizmu — wyszedł na powierzchnię, by świętować swe 40-lecie? Wiem, że istnieją rzeczy, których nie da się wymazać z pamięci i każdy z nas nosi w sobie jakieś przeżycia, z którymi będzie musiał zasygnalizować jeszcze przez wiele lat. Jedni mają przeżycia przyjemne, podniecające starzejąc się ciała inni zaś — przeżycia okropne, wzbudzające ciągłe ból. Bo nie da się przeszłości zapomnieć i żyć udając, że nie się nie stało.

2 Oto przez cały kraj, bo nie jestem aż tak naiwny, udając, iż tylko przez Zieloną Górę i Nową Solą płynie fala rocznicowych show'ów — odbywają się spotkania ku czci. Wiadomo również, że samo już zorganizowanie takiego spotkania w dobie obecnej inflacji kosztuje sporo banknotów, i rzecz jasna, chciałoby się wiedzieć, z jakiego konta ta forsza idzie i co przez to pragnie się osiągnąć? Czyżby ZSMP jest aż taką bogatą finansową organizacją, że w każdej nawet miejscinie gotów jest finansować spotkania byłych aktywistów organizacji, która to w czasach rodzimej wersji stalinizmu odegrała nie tak znów jednoznacznie sympatyczną rolę, jakby chcieli co poniektórzy. I cóż się mówi na takich spotkaniach emerytów? Ze ZMP „mobilizował młodzież polską do uczestnictwa w kampaniach politycznych, aktywnie włączając się w ogólnonarodowy front walki o pokój, przeciwko narzuconej światu przez imperializm polityce zimnej wojny” (cyt. z oficjalnego opracowania). Ze młodzież zrzeszona w ZMP „wznosiła wielkie budowle socjalizmu: Nową Hutę, Kędzierzyn, Nowe Tychy, Wizów”, a tak że „wiele wsi i miasteczek czyniły członków ZMP zawdzięczało światło elektryczne czy drogę do miasta”. Oczywiście, że takich faktów nie da się pominąć i ku pokrzepieniu serc sfrustrowanemu polskiemu społeczeństwu można to przypomnieć. Lecz o czasach działalności ZMP istnieje też i inna prawda. Prawda, która ulega zanikowi pamięci i po prostu ktoś się jej wstydi.

3 W mojej pamięci tkwią jeszcze doświadczenia mego dziadka, który otrzymawszy z reformy rolnej ziemię — musiał naraz włączyć ją do spółdzielni produkcyjnej, bowiem w przeciwnym razie aktywny miejscowego koła ZMP groził podpaleniem budynków gospodarskich. Ileż trzeba było mieć w sobie samozaparcia, odwagi, wręcz bohaterstwa by móc się opierać cotygod-

niowym najazdom młodzieży na wieś, która ze szturmówkami na platformach samochod m-ki „Lublin”, ze śpiewem na ustach: „My ZMP reakcji nie boimy się!” — widziała w chłopie polskim kula, zaś w swoich rówieśnikach, nie zrzeszonych w ZMP — bikiniarzy i wrogów socjalizmu.

4 Tak należy powiedzieć: czasy stalinizmu w Polsce, czasy, w których ZMP osiągnął swe apogeum, to także czasy, w których za pomocą aktywności tejże organizacji dokonywano pacyfikacji wsi, palono chłopskie zagrody, wyrzucano na bruk całe rodziny, którym przyklejano etykietkę wroga ustroju. I kiedy więc napotykałem wspomnienia dotyczące pierwszego dzieściolecia Polski Ludowej, to często przytłapałem się na myśl, że czegoś w tym prezentowanym obrazie jest mi brak. Gdzieś bowiem podzielił się ci inspiratorzy pchający, nie tylko zresztą młodzież, do łamania prawa, do tych budzących grozę wizyt, do „prostowania kręgosłupów”, do zddiczenia moralnego? Gdzieś podzielił się ów ogromny personel obsługujący stalinowski aparat terroru? I jeżeli tu i ówdzie pragnie się organizować rocznice poświęcone ZMP, oprócz wystawiania laurów tejże organizacji, winno się przypomnieć przyczyny, które zaważyły na decyzji o jej rozwiązaniu. Należałoby powiedzieć całą prawdę.

5 Ale publiczne powiedzenie całej prawdy o działalności ZMP, wymaga pierw zbudzenia budowanej przez określone czynniki legendy o ZMP. Wiem, iż tak sformułowany postulat wymaga cywilnej odwagi byłych aktywistów. Cóż, kiedy tej odwagi jest brak. Biorąc ci ludzie, a opieram się na opiniach, jakie udało mi się zacerpnąć od niektórych uczestników owych uroczystości ku czci — ciągle myślą o swej przeszłości w kategoriach li tylko satysfakcji z ówczesnej, młodzieńczej sprawności, są dumni z otrzymanych odznaczeń i dyplomów. I na pewno nie znajdują żadnych powodów, by się cokolwiek wstydić. Nie przychodzi im to do głowy.

6 Dziwna to sytuacja. Ote dochodzą do nas głosy szokujące odważne w analizowaniu stalinizmu w ZSRR, ale u nas panuje ciągle lek przed otwartym powiedzeniem, że byli i polscy stalinowcy z własnym rachunkiem błędów i występów. Byli również i ci młodzi, którzy dusząc w sobie ludzkie odruchy, tłumaczyli sobie samym, że tak trzeba robić, że to rozkaz, że wroga należy niszczyć...

ZBIGNIEW M. JELINEK

Z okien naszej redakcji widać wiele, choć nie wszystko. Wiemy, że na ulicy Sobieskiego, między sklepem „Jubiler” a „Centralą Rybną” leży kupa. Są to kamienie filozoficzne, których okrucich czyni z podłego metalu złoto. W każdym mieście są widoki z okna, rogi ulic, z którymi są kupy kamieni filozoficznych, mylone czasem z psim łajnem. Wystarczy podejść, podnieść a nasz los indywidualny i zbiorowy ulegnie zasadniczej przemianie. Jako jednostki z największą łatwością dojdziemy do kolorowego telewizora i zamrądkujemy, jako zbiorowość, bez potu na czołach spłacimy dług, uczynimy złotówkę najpotężniejszym pieniądzem świata a bankierzy na słowo „Polak” będą stali na baczność albo i lepiej — będą się kłaniali w pas tak nisko, że nosami dotkną ziemi.

Cóż nam przeszkadza dojść do kupy i wybrać to co trzeba? Na naszym placu w Zielonej Górze jest to sklep nie wiadomo dlaczego nazwany „Delikatesami” do którego dowieźli świnię kopyta, bar do którego dowieźli „Moda polska”, gdzie obok ładnych ekspedientek pokazywały się chińskie kalessony. W dotarciu do kupy przeszkadza nam więc handel mając nas przebogata ofertą. Redaktor Łukaszewicz był pełen dobrych chęci. Nie dotarł jednak na ulicę Sobieskiego. Został zaskoczony przez ekspedientkę sklepu z butami, która tak długo trzymała za guzik przy płaszczu aż go urwała. Przymuszony przez nią, wszedł do sklepu, kupił sandały o pięć numerów za duże z nadzieją, że między stygnącym a lipcem stopy mu urosną.

Droga z redakcji w pobliżu „Centrali Rybnej” jest ciernista nie tylko z

powodu handlowych pokus. Zatrzymują nas znajomi, przesłuchani o tym, że my, pracownicy frontu ideologicznego, najlepiej wiemy, co w trawie piszczy. Wyjaśnianie, że lepiej są poinformowani ludzie z Aleji Niepodległości 25, Kukulczej 1, ma charakter bezprzedmiotowy. I tak nam nikt nie wierzy. Bo mówiący prawdę jest podejrzany. Żadnym sposobem nie wybieje się na społeczną wiarygodność, publiczne zaufanie. Rzecznik prasowy Rządu min. Urban mówi tylko prawdę. I co z tego? Kto mu ufa? Nawet korespondent z Brazylii podejrzewa go o kretactwa, matactwa i intrygantwo, choć dusza Rzecznika jest równie czysta jak komek ministra chalturzącego po koledzie.

Nie da się ukryć. Najwięcej przeszkód w dotarciu do kamieni filozoficz-

nych stwarza władza. Wszelka władza. Polityczna. Administracyjna. Finansowa. Zazdrośna o wpływy, nie ma żadnego interesu w tym, aby rządzić obywatelami sytytymi, obutymi, w pełni zadowolonymi z życia. Rządzić sfrustrowanymi nieudacznikami — oto jest hobby władzy.

Kamienie filozoficzne na ulicy Sobieskiego w Zielonej Górze, wszystkie magiczne kupy w polskich miastach, mogą sobie spać spokojnie. Nikt ich nie ruszy. Wystarczy nam świadomość, że one po prostu są, że rozwiązanie naszych trosk indywidualnych, kłopotów zbiorowych, jest kwestią jednego gestu, a rzeczywistość niech sobie skrzeczy. Komuś na pohybel.

Wiara w cuda jest wśród nas głęboko ugruntowana, choć wiemy, że ich nie ma. Czysta idealistyczna miłość do ojczyzny Kopernika, Kościuszki i cytrynówki ma się wyrazić tym, że podarują nam nasze długi, choć wiemy, że litościwi bankierzy występują tylko w świecie bajek. Wieleletnie zafasowanie techniczno-cywilizacyjne w samym sercu Europy odrobic można za pomocą przedsiębiorczości jednostek? Toż to byłby cud. Spauperyzowani prze bojowcy mogą się wyrazić budką na warzywa, jeszcze jedną frytkarnią, zbieraniem ogarków na cmentarzu i ich kolejnym przetapianiem. Produkcja światłowodów, telefaxów, magnetowidów, taśm magnetycznych jest poza możliwościami sektora prywatnego. W pewnym sensie ilustracją możliwości prywatnych przedsiębiorców jest cotygodniowa działalność firm polonijnych — Black Jack i Prusakolep. W przelazieniu gospodarki na drugi, trzeci bieg, rola prywatnej przedsiębiorczości może mieć jedynie charakter uzupełniający. Dla mnie zasadnicze będzie to, co dzieje się, co zmienia się na lepsze w Nowej Hucie, stoczni „Warskiego”, gorzowskim „Stilonie” i setkach innych, dużych, państwowych przedsiębiorstw. Na razie jakoś nie słychać, aby tam działały siły rzeczy porwujące, zapierające dech w piersiach. Energii, przebojowości, hazardu w walce o postęp technologiczny jest tam tyle, ile magnetyzmu w stogu siana. Natomiast w szufladach z planami postępu naukowego, ekonomicznego, technicznego, organizacyjnego panuje wzorowy porządek. Ponieważ do tych planów zagląda się rzadko.

Ostatnio został wynaleziony kolejny kamień filozoficzny. O swoją strefę wolnościową na początku wystąpił Szczecin z dyrektorem Kargerem, któremu

znudziło się kierowanie Polską Zegluga Morską. Natychmiast ze swoim projektem strefy wystąpił Gdańsk. Gorsze nie chcą być Kraków i Warszawa. Strefa wolnościowa w Warszawie de facto egzystuje od lat w okolicach hoteli. Teraz wyznacza się nowe tereny — jak słyszałem w okolicy mostu Poniatowskiego, Muzeum Wojska Polskiego, Wydziału „Iskry” i kamienicy będącej siedzibą Zarządu Głównego Związku Młodzieży Wiejskiej. Nie widzę w strefach wolnościowych niczego złego. Natomiast widzenie w nich jednego wyjścia z polskich dylematów gospodarczych jest jeszcze jedną utopią. A w ogóle, gdzie w wyszyciu do strefy wolnościowej znalazł się Gorzów? Jaka jest jego pozycja w pelotonie? Przecież miejsca gdzie Nogiel wpada do Warty, jest od groma. Co robi naczelnik Kostrzyna? Dlaczego ten pan nie ogłasza w imieniu miasta swojej idei strefy wolnościowej? Może podłączyłby się jako kooperant do Szczecina? My tu w Zielonej Górze też mamy pomysł na strefę wolnościową. Pasują nam jak ułaj Cigacice. Mamy już most, drogę, linię MPK, jedną nitkę toru kolejowego i bardzo dobry klimat — umiarkowane, choć nieregularne opady, wiatry przeważnie z zachodu i domek, który po adaptacji i gruntownym remoncie byłby w sam raz siedzibą kapitanatu portu. Jest też kandydat na stanowisko kapitana, który wie czym odróżnia się rufa od kokpitu i jakie sygnały należy wydać w momencie wchodzenia admirała na jednostkę pływającą. Ma też doświadczenie w kierowaniu kulturą, zwłaszcza w kordynowaniu, inspirowaniu i kontrolowaniu.

W trudnych czasach wiara w cuda ulega spotęgowaniu. Rozkwitają loterie, totalizatory. Sukcesy odnoszą wróżki i kabalarki. Autorzy horoskopów pobierają zasłużone honoraria. Wiele wróżówek zachodnioeuropejskiej twierdzą jednoznacznie, że rok 1989 będzie dla świata tragiczny. Kurs dolara spadnie na leb, gieldy się załamają, sklepy spożywcze we Francji, Anglii, RFN będą zaskrobyły naszym „Delikatesom” bogactwa towarów. Tymczasem nasza redakcyjna Cassandra jest w swoich przewidywaniach znacznie bardziej optymistyczna. Nie grożą nam żadne większe sukcesy, ale i załamania. Rok ma być taki sobie, plus minus średni. Pozwala to nam patrzeć na rzeczywistość roztaczającą się przed redakcyjnymi oknami w sposób opanowany. Nikomu skrzydła nie urosną.

RYSZARD ROWIŃSKI

MoRGinałki

GEST DOBREJ WOLI. Krystyna Zielinska w felietonie „Male strumyki” (Veto) nr 51/52 z 1988 r.) cytując list mieszkanki Opola: „Córka moja jest dzieckiem niepełnosprawnym. Cierpi na niedowład prawej stopy i jedną nogę ma krótszą. Rośnie i ciągle jest jej potrzebne nowe obuwie letnie i zimowe i kaptcie do szkoły z pełną piętą. Pani Krystyno! Zakłady Przemysłu Skórzanego „Carina” w Gubinie już od kilku lat przysyłają mi do domu za załatwieniem dokładne takie buty, jakich dziewczynka potrzebuje. Raz są to buciki, raz sandały. Tak więc pomimo bezwzględnej reformy gospodarczej, na piętych planów, trudności surowcowych są jeszcze ludzie o dobrym sercu i wczuwający się w taką sytuację, jak nasza — oni zasługują na order uśmiechu.” To krzepiące! I aż dziw bierze, że w tym wszechogarniającym amoku pogoni za zyskiem ostali się jeszcze ludzie, których stać na takie gesty dobrej woli.

OD MIESZKA DO KTT. W 265 odcinku swej opowieści — rzeki o literaturze polskiej lat 1918—1986, publikowanej na łamach „Przeglądu Literaturoznawczego”. Piotr Kuncewicz zarejestrował twórczość Michała Kaziowa i Tadeusza Jasińskiego (nr 51). O Michała Kaziowie czytamy, iż jest „Postacią niezwykle oryginalną i naznaczoną piętnem wyjątkowego nieszczęścia”, że zajmuje się problematyką radia i oryginalną twórczością prozatorską. Krytyk nie wartościuje, tylko odnotowuje fakty bio- i bibliograficzne. Natomiast nieco więcej miejsca poświęcił Tadeuszowi Jasińskiemu, choć bez kumoterskiej przesady. Dwa tomy historycznych opowieści z dziejów Ziemi Lubuskiej skłonił do określenia Jana Koprowskiego: „zbeletryzowane wypisy historyczne”, zaś przy następnych tomach przybyłego Lubuszanina Kuncewicz używa jednoznacznych określeń: „czarno-białe schematy” w konstrukcji bohaterów. „Okazuje się, jak wszyscy wiemy, że antykomuniści to zwyrodniali bandyci, zaś władza ludowa to po prostu anioły” — konstatuje krytyk po lekturze prozy Jasińskiego. Dobrze, że na pocieszenie ostro osądzono Tadeusza zostawiając w tekst wlamane jego zdjęcie, jeszcze z lat zielonogórskich, bo wykonane przez Gawalkiewicza. Na twarzy autora „Drogi okólnie” widoczny był już wtedy fraszek.

W POSZUKIWANIU TALENTÓW. Pod takim tytułem Henryk Drakula opubli-

kował w „Szpilkach” (nr 50) felieton o „nerwowych rozjazdach po kraju w poszukiwaniu nowych talentów...”. Pisze m.in.: „Zwierzyl się nam kiedyś Felician Andrzejczak, że w życiu nie zrobi kariery, ponieważ mieszka w Świebodzinie, a poza tym nie ma tam telefonu”. Dalej felietonista napisał: „Z nadzieją więc ogromną udaliśmy się wraz z kol. Giedrojem na drugi koniec Polski, bo aż do Myśliborza w województwie gorzowskim, aby przyjrzeć się już po raz jedenasty organizowanej przez miejscowy Ośrodek Kultury, w której siedzibie oraz ZAKR imprezie pod imponującą nazwą „Ogólnopolskie Spotkania Młodych Autorów i Kompozytorów SMAK '88. (...) Osobiście jestem przeciwnikiem w ogóle instytucjonalizowania zawodów twórczych, i np. uważam, że studia dziennikarskie to idiotyzm, a jeśli już jesteśmy przy gwiazdach, to wyżej wymienione były — jak mi się zdaje — całkowitymi samoukami. Odwołuję kol. Giedroja, który twierdzi, że nigdy za dużo nauki, a w jednej autorce z miejscowości Recz dostrzegł znamiona dużego talentu. Być może wzięło się to z tego, że był on w Myśliborzu o dzień dłużej niż ja i więcej widział. Zapełne największe zaś dostrzegli wykładowcy SMAKU '88, którzy przebywali z uczestnikami po parę godzin dziennie przez tydzień. (...) Na razie stwierdzam uroczyście, że impreza mi się podobała, praca u podstaw zawsze godna jest pochwały. Myślibórz jest pięknym miasteczkiem, a księgarnia i sklep materyjacyjny zaopatrzona są w towary na poziomie europejskim.” Morał: chcesz zostać Europejczykiem — jedź do Myśliborza!

DROGI NIEOBECNY? Piotr Cielesz w rozmowie z Marianem Kisielim i Tomaszem Soldehoffem — poetami, porusza się po rozległych obszarach polskiego życia literackiego („Fakty” nr 51), sygnalizując wiele ważnych acz trudnych do wyjaśnienia problemów. I tak np. TS powiada: „Poeta jest nie tylko twórcą słów, jest także uwikłany w konkretny świat. Staram się na przykład zrozumieć heroiczne milczenie Ryszarda Krynickiego, to, że tłumaczy on poetów energicznych, ale to w końcu prowadzi do wyłączenia pisarza z obiegu.” Którego obiegu? Pierwszego czy drugiego?

DYCHOTOMIA. Henryk Berezka lansuje w „Twórczości” (nr 10) nowego prozaika, mającego zapewne wzbogacić jego szkolkę — Jarosława Borszewicza. Krytyk pisze m.in.: „Dychotomia płciowa ma u Jarosława Borszewicza charakter podstawowy, jest ważniejsza niż jakiegokolwiek inne, wszystkie inne, jeśli jakiegokolwiek się pojawi, są jej podporządkowane. (...) Granicę między

placiami pozornie znosi opowiadanie „Cycofon”, w którym dochodzi wprawdzie do zamiany płci, ale zamiana roli płciowej nie narusza w niczym zasady dwudzielności płciowej...”. Acha, już wszystko zrozumieliśmy. Na Parnas z Borszewiczem!

DEKADA. Podczas ubiegłorocznej dekady książki społeczno-politycznej jak zwykle nie były dostępne polecane z tej okazji co wybitniejsze publikacje. Natomiast w niektórych wiejskich klubach byli dostępni dziennikarze, którzy rozmawiali z mieszkańcami o ich codziennych kłopotach. Na przykład w leżącej pięć kilometrów od Zagania wsi Chrobów pani soltys upominała się o dogodniejsze połączenie autobusu we, zwłaszcza w soboty i niedziele, z pobliskim miastem. Wnioski radnych i samorządu wiejskiego są zbywane przez szefów lokalnej komunikacji. „Merginałki” proponują tym szefom codzienny spacer, w jesiennie szarugi i zimowe zawiewe, po pomoc lekarską lub za inną potrzebą — na trasie Chrobów — Zagania i z powrotem. Na zdrowie!

SMUTNY JUBEL. Powieść Alfreda Siateckiego „Jubel” omawia w 10 nrze „Nowych książek” Magdalena Lengren, pisząc m.in.: „Ta w zamyśle gogolowska satyra ocieka prawdą, która jest banalna jak wiele naszych grzechów. Brak natomiast prawdziwie przejmujących postaci, które wyszłyby poza meczącą rodzajowość. Rządzi się nami i żyje przeciw trudniej”. To ostatnie spostrzeżenie jest szczególnie odkrywcze.

Z PRASY ZAKŁADOWEJ. Dwutygodnik Zakładów Włókien Chemicznych „Stilon”, czyli „Stilon gorzowski” (nr 25) na pierwszej stronie publikuje informację „Z obrad Rady Pracowniczej”. „Przewodniczący RP Tomasz Szymkiewicz zapoznał zebranych z proponowanym porządkiem obrad, gdzie w sprawach różnych przedstawił m.in. punkt zawierający wniosek o wyekspozowanie w zbiorach Muzeum Zakładowego sztandaru zdelegalizowanej „Solidarności”. Punkt wzbudził sprzeciw. Jacek Jagiello — przedstawiciel załogi z PJ II zwrócił się z wnioskiem o zdjęcie punktu z porządku obrad, przytaczając obszerne uzasadnienie i argumentację, z której wynikało, iż jest to wniosek bezzasadny z punktu widzenia prawa i że przed siebiorstwem są ważniejsze sprawy do rozstrzygnięcia — żywotne dla załogi, od demonstracji politycznych”. W wyniku tajnego głosowania „Większością głosów zdjęto ten punkt z porządku obrad”. Dobrze, że pozostało potem trochę czasu na omówienie pozostałych aktualnych problemów załogi..